ŚWIAT DZIEWCZĄT

cena 40 gr



N 2

Rok I. Warszawa, dnia 10 stycznia 1933 r. Nr 2

Świat Dziewcząt

WYCHODZI 1-go 10-go i 20-go KAŻDEGO MIESIĄCA

Szukajmy sprzymierzeńców

— *Jaka zła: wstała dziś z lewej nogi.*

Niecierpimy wszystkie tego powiedzenia, zwłaszcza wtedy, kiedy czai się w niem pewna doza słuszności. Bo, czy to człowiek właściwie zdaje sobie sprawę, dlaczego jest w złym humorze?

Zdaje mu się, że byłby jaknajlepiej do świata usposobiony, gdyby nie to i nie to i nie tamto.

Po pierwsze, kuło się długo i nie chce się wstawać przy lampie, kiedy piec już zdążył wystygnąć i, naprzykład, jest zimno. Po drugie, ten wstrętny Tadek chlapie się w łazience i zajmuje ją o 5 minut zadługo, chociaż i tak wiadomo, że właściwie wyciera ze zwstrętem szyję brzegiem mokrego ręcznika. Po trzecie każą jeść bułkę z masłem, która staje w gardle i na którą się nawet patrzeć nie chce. Po czwarte — zły los wpakował w dzisiejszy rozkład lekcję, która nie raczyła wczoraj wleźć do głowy. Po piąte, przypomniało się już na ulicy, że się zapomniało zeszytu z zadaniami. Po szóste, olśniła niemile myśl o o wymówieniu od wczoraj towarzyskich stosunków przyjaciółce. Zdecydowanie antypatyczne zdarzenie. „Każda radość krucha na tym świecie", jak klarował pani Makowieckiej Zagłoba. Po siódme, niema ciekawego programu („dozwolonego") w kinie, albo ulotniła się gdzieś przeznaczona na niego złotówka. Może już dosyć tej niewdzięcznej rachuby? Wystarczy, żeby się człowiekowi humor do reszty rozkwasił.

Już teraz wszystko pojedzie zgórki na pazurki. Koleżanki będą wrzeszczały bez sensu, lekcja się nie przypomni i dwója murowana, bez ohyby nagada się komuś głupstw, które trudno będzie zawrócić z drogi... Zabrnie się w ten „pechowy" dzień jak w grzęzawisko. I jak tu z niego wykroić jakąś lepszą, jaśniejszą godzinę? Dobrze, jeśli się jakoś przepchnie ten dzień bez katastrofy. Jeżeli nie wyłoni się z niego jakaś ważna kwestja, którą wobec całego nastawienia rozstrzygać będzie za nas zły humor — a już zgóry wiadomo jak to on ją pomyślnie rozstrzygnie. Ładnie nas urządzi!

W najlepszym razie, taki poniedziałek, czy środa będzie nijaki, zamozany i stracony jak nieudana odbitka fotograficzna. Co tu robić u progu takiego dnia, żeby się nie zbakierował, żeby go jakoś wyratować z odmętu, żeby się przecież na coś przydał?

Spróbujmy się z tym niehumorem pomocować od rana. Od najpierwszej chwileczki kiedy oczy, jakże niechętnie, otwierają się na szarość, na ciemność, na nudę albo zgoła — coś złego. W każdej walce potrzebni są sprzymierzeńcy. Gdzie ich szukać, który pośpieszy z pomocą? Do kogo zawołać S.O.S.?

Ratujcie mój dzień!

Poszukajmy.

Jedna rzecz jest już dobra z całą pewnością. Niedługo, za dwa miesiące będzie... wiosna. Już się można troszeczkę, cokolwiek *ucieszyć!* Nie udało się? Ani rusz? Nie szkodzi. Próbujmy dalej. Wczoraj się przyszyło świeży kołnierzyk do mundurka. *Miło* jest mieć czysty kołnierzyk. Po umyciu spać się *już* nie chce. Znikła zmora senności. Dobre i takie małe coś. Mamusia zawołała z sypialnego:

— *Dzień dobry!*

Może więc ten dzień *nie będzie* taki znowu najgorszy? Wczorajsze wypracowanie wygląda na wcale *udane* (przy pisaniu zapalił się w głowie jakiś ciepły promyczek). Bułka chrupnęła wcale za*chęcająco* — może już wypić tę herbatę? Tornister był zapakowany zwieczora, a *nuż* się zdąży? Powietrze, chociaż wilgotne, jest takie *świeże* — ta zima zapowiada się wcale, wcale...

Po drodze spotkało się *sympatycznego* pieseczka — codzień o tej porze chodzi z damą, która „należy do niego" na spacer. Ta Jadzia ze swemi dowcipami może nie jest już całkiem bez pojęcia? Pożyczyła taką *ciekawą* książkę. A z tej lekcji, co to niekoniecznie, może wcale *nie* spytają (od jutra trzeba zacząć solidne wyrównywanie przedmiotu).

Zanim się dojdzie do szkoły, patrzcie ile dobrych myśli udało się w siebie nazbierać! Te złe jeśli nie pouciekały odrazu, mają jednak trudniejszą walkę. A niejedna ze wstydu wycofała się z biegu. Dalej już równa droga. Dalej jest ani źle, ani dobrze. Jest zwyczajnie. Biała karta. Pisźże na niej, człowieku, co ci się zamarzy. Do wieczora przygwoździ się już 12-tą, 14-tą, 16-tą radość. To już całe towarzystwo! Wieczór zapowiada się wcale interesująco...

A noc spłynie pogodna i cicha...

Wanda Borudzka.

DO NASZYCH CZYTELNICZEK!

Prosimy bardzo o jaknajszczersze wypowiadanie się w sprawie treści i formy Waszego pisma. Co się podoba, a co nie. Czego chciałybyście mieć w piśmie więcej, a czego mniej. Pozatem będziemy odpowiadali na wszelkie zapytania z dziedziny zarówno spraw i wątpliwości „życiowych", jak wykształcenia zawodowego, spraw gospodarskich, mód, robót, sportu, kina, organizacyj szkolnych i innych zagadnień, od których roi się Wasze życie.

Pisać można pod pseudonimami, trzeba natomiast koniecznie dołączyć do listu znaczek pocztowy za 30 gr. niezależnie od tego, czy odpowiedź ma być zamieszczona na łamach pisma, czy w liście. Na kopercie powinien być tytuł działu, do którego list jest przeznaczony. Jeśli spraw będzie kilka, pisać każdą należy na osobnej kartce papieru. Prosimy też o przysyłanie ciekawych wiadomości z Waszego życia w postaci opowiadań, sprawozdań lub nawet nowelek. Jeśli napłynie dużo interesującego materjału przeznaczymy trochę miejsca na młodą twórczość. Byłoby to bardzo miłe, czy nie?

WASZA, BARDZO PRZYJAZNA, REDAKCJA.

Kornel Makuszyński

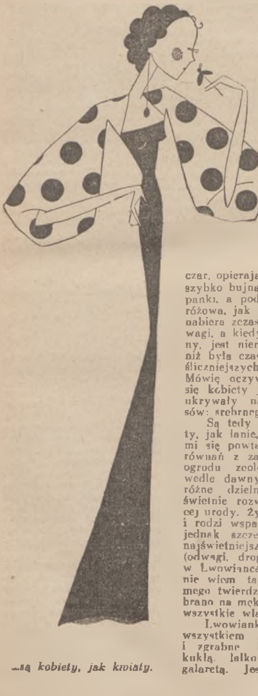
NAJPIĘKNIEJSZE PANIENKI

W piśmie, przeznaczonem dla panienek, postanowiłem zastanowić się głęboko nad potężnem zagadnieniem, które wielu filozofom spędza sen z powiek: „Gdzie w Polsce są najpiękniejsze dziewczęta?". Odpowiedź na takie obłąkane pytanie nie jest bynajmniej łatwa. Trzeba je rozważyć ostrożnie, miałbym się bowiem zpyszna, gdybym zadarł z tak przeraźliwą potencją, jak polskie panny. Tak się ponadto zdarzyło, że wydałem właśnie książkę p. t. „Panna z mokrą głową", która jest hymnem na cześć dziewczęcej armji, wskutek czego pieszczę w duszy nadzieję, że na ogólnopolskim zjeździe panien, zostanę wśród piskliwych okrzyków mianowany „honorową panną". Dlatego każde moje słowo musi przypominać kwiat, a nie pokrzywę, jak mi się to, niestety, ku własnej rozpaczy, dość często zdarza.

Rozważając wymalowane w tytule zagadnienie, nie chcę, bynajmniej, czynić ujmy nikomu, bo polskie dziewczęta są generalnie piękne i gdyby dobrze w Polsce poszukać, wynalazłoby się najpiękniejszą panienkę na świecie. Śliczne są polskie dziewczęta, jak Polska długa i szeroka. Nie należy poraz setny powtarzać zachwyconych apostrof rozmaitych wielkich ludzi na temat polskiej piękności. Jest w jej słodyczy i promienistości wielki jakiś i tajemniczy



...kobiety, jak łanie.



...są kobiety, jak kwiaty.

czar, opierający się czasowi. Słońce warzy szybko bujną piękność Włoszki, czy Hiszpanki, a pod polskiem słońcem piękność, różowa, jak jutrzenka w swojem zaraniu, nabiera zczasem królewskiej, dojrzałej powagi, a kiedy się osrebrzy szronem siwizny, jest nierzadko piękniejsza w jesieni, niż była czasu wiosny. Niema na świecie śliczniejszych staruszek, niż w Polsce. Mówię oczywiście, o tych czasach, kiedy się kobiety jeszcze starzały i kiedy nie ukrywały najpiękniejszego koloru włosów: srebrnego.

Są tedy w Polsce kobiety, jak kwiaty, jak łanie, jak anioły i t. d. Nie chce mi się powtarzać tysiąca nadobnych porównań z zakresu fauny, flory, nieba i ogrodu zoologicznego. Krótko mówiąc, wedle dawnych, a bystrych spostrzeżeń, różne dzielnice szczyciły się różnemi, świetnie rozwiniętemi szczegółami kobiecej urody. Żyzna i pogodna ziemia rodziła i rodzi wspaniałe dziewczęta. Wszystkie jednak szczegóły przedziwne, wszystkie najświetniejsze cechy urody zespoliły się... (odwagi, drogi Kornelu!)... zespoliły się w Lwowiance. Czemu tak się dzieje, ja nie wiem, tak jednak jest istotnie, a ja mego twierdzenia nie cofnę, choćby mnie brano na męki i kazano odrazu przeczytać wszystkie własne książki.

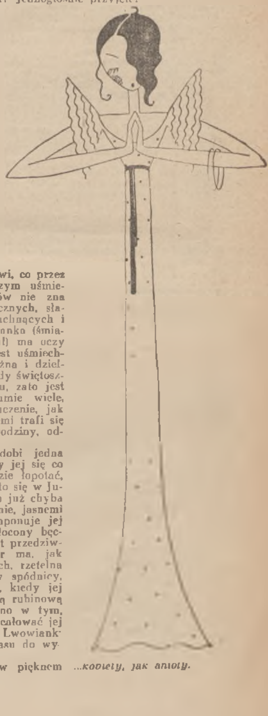
Lwowianka jest to stworzenie przedewszystkiem zdrowe, wysmukłe, zwinne i zgrabne. Lwowianka nigdy nie jest kuklą, lalkowatem cackiem i drżącą galaretą. Jest to zawsze piękność promienna. Coś w niej takiego tkwi, co przez oczy błyska i najcudowniejszym uśmiechem twarz opromienia. Lwów nie zna piękności omdlałych, orchideicznych, słaniających się leliji, różowo pachnących i zawracających oczyma. Lwowianka (śmiało, śmiało, najdroższy Kornelu!) ma oczy bystre, a spojrzenie śmiałe. Jest uśmiechnięta, w miarę pyskata, odważna i dzielna. Nigdy nie jest obłudna, nigdy świętoszkowata, nie beczy bez powodu, zato jest nadzwyczajnie inteligentna, umie wiele, jest muzykalna i śpiewa nieuczenie, jak ptak. Oczywiście i między niemi trafi się czasem cholera, ale nigdy z rodziny, oddawna tu zasiedziałej.

Prawdziwą Lwowiankę zdobi jedna rzecz śliczna: entuzjazm. Kiedy jej się co podoba, to w niej dusza będzie łopotać, jak wiatr, kiedy jest gniewna, to się w Junonę zamienia. Kiedy kocha, to już chyba na śmierć, a miłość wita radośnie, jasnemi oczami, śpiewający. Nie zaimponuje jej ani szych, ani blichtr, ani ozłocony bęcwał, bo szczera Lwowianka jest przedziwnie mądra sercem. Charakter ma, jak skała. Twarda w przekonaniach, rzetelna w postępowaniu, gentelman w spódnicy, umie zapłonąć, jak pochodnia, kiedy jej serce, czyste i bez fałszu, krwią rubinową zakipi. (Niech mi będzie wolno w tym, choć żartobliwym artykuliku, ucałować jej ręce zato, że dusza pięknej Lwowianki umiała się wznieść swojego czasu do wyżyn bohaterstwa).

Taka oto dusza jaśnieje w pięknem ciele, dlatego też może jest ono tak przedziwnie harmonijne. Kiedy Lwowianka stąpa, wtedy się zdawać może, że się ziemia pod nią raduje, czując, że to jej kwiat najpiękniejszy. Zdrowe to, mocne, zamaszyste, nieustępliwe, zgrabne, wiotkie i bujne. Dziwo takie najwięcej przypomina pożar: oczy płoną, rumieńce, jak łuna, a krew kipi, jak w wulkanie lawa. Aż miło spojrzeć i posłuchać miło. Śpiewa ona swoim słodkim djalektem, głosem melodyjnym, o radosnej barwie. Lwów jest najbardziej muzykalnem miastem polskiem, a każda Lwowianka jest wysoką, kryształową nutą wesołej piosenki. Lwowska dziewczyna jest tylko czasem smutna, wtedy mianowicie, kiedy się zakocha; jakażby to bowiem była miłość, któraby od czasu do czasu rzewnych nie wylała łzów? Byłoby to tak „niehonorowe", jak góralskie wesele bez bójki.

Mógłbym tak przez dwie niedziele śpiewać hymn na cześć lwowskiego dziewczęcia. Nie czynię tego ze zwyczajnego tchórzostwa, bo może się wybiorę do Lwowa. A niechby tylko co dziesiąta lwowska dziewczyna chciała mi uśmiechem — takim specjalnym — podziękować za tych kilka mizernych słów, ładniebym wyglądał! Chcę na stare lata zachować resztki rozsądku i nie „owarjować", jak mawiał Zagłoba.

Ceterum censeo, że wszystkie dziewczęta polskie są śliczne. Kto jest przeciwnego zdania? Nikt? Jednogłośnie przyjęte!



...kobiety, jak anioły.

WYWIAD Z AWANTURĄ

— Śnieg! Śnieg! Śnieg! — hip! hip! hurra —) krzyczała Zośka i jak burza przewiała przez korytarz do kuchni, wyrwała z rąk przezornej Walentowej dwie patelnie i przy akompanjamencie tej zaimprowizowanej perkusji, wykonała dziki taniec, stanowiący coś pośredniego między pląsm Józefiny Baker, a szamotaniem się początkującego narciarza, który rozpaczliwie utrzymuje równowagę na zjeździe:

— Panienko! edyć panienko! co to za pokraczną mazepę panienka ze siebie wystrugała! — jęczała zadyszana Walentowa, nie mogąc nadążyć za Zośką, która w dzikich susach pędziła przez całe mieszkanie aż do salonu, gdzie nastąpił szczytowy moment programu: oślepiająca „świeca", którą niezależnie od metalicznego brzęku patelni oznajmił głuchy huk podobny do wystrzału.

To Zośka tak celnie strzeliła czubkiem pantofelka w donicę z palmą, stojącą na mahoniowym słupie, że cała ta imitacja dżungli runęła na ziemię.

— O rety! rety! — krzyknęła, już na dobre przerażona Walentowa, — a toć panienka cały dom w puch i proch rozniesie!

— Precz z fałszywym egzotyzmem! — huknęła Zośka, opierając zwycięską stopę na powalonem ciele wroga.—Dawno już to się należało tej starej drapace. Nie cierpię tych przeżytków mieszczańskiego salonu. Mama cacka się z tem, jak z panną na wydaniu: myje, podlewa, skrapia, okurza. A ja to co? Przez ten uschły badyl nawet mi papierosa w salonie zapalić nie wolno.

— Nie wiedziałam, że palisz papierosy — odezwałam się z mego fotelu, skąd już od kilku minut obserwowałam całą scenę — od kiedyż to, Zosiu?

— Ciot! Ciot kochany! — zawołała Zośka. — Nie nie wiedziałam, że jesteś. Bardzo cię przepraszam za wybryk mojego cielęcego zapału. Ale, Ciot, ja wiem, że ty mnie rozumiesz. Przecież człowieka djabli mogą wziąć z radości, kiedy zobaczy pierwszy śnieg, i to właśnie wtedy, kiedy od tygodnia ma jechać na narty i nie może go się doczekać. Pomyśl, Ciot! pierwszy rok, odkąd jestem w szkole, dali nam zimowe wakacje. Pycha!

— Pewno, że to przyjemnie, ale co ma do tego biedna palma, no! i ten papieros?

— Ee, Ciot, — nie bądź taką ciotką z anegdoty, co to siedzi na kanapie i „ma za złe". Z tą palmą to było niechcacy, a co do papierosa... Powiem ci w sekrecie, ale to pod największym bajraniem, że ja tego świństwa nie cierpię, tylko przed kolegami Staszka udaję, że palę, ale tylko tureckie, bo to uważasz Ciot, podnosi mój prestiż.

— Twój prestiż! Zośka niechże cię uściskam za ten twój prestiż. Gadasz dziewczyno jak dyplomatu. Kto wie, może to twoje powołanie?

— O co to, to nie! Ja lubię prosto z mostu: albo daj pyska, albo walę w...

— Zośka! wyrażasz się, jak ulicznik.

— No, i ja dyplomatką nie będę!

— A czemże ty będziesz, ty mój kochany uczciwy człowieku. Matura za pasem, a potem co?

— Ciot, ja nieraz o tem myślę i to całkiem poważnie. Ja wiem, że rodzice toby chcieli, żebym obrała sobie jaki spokojny fach, przy książeczce, przy biureczku, przy maszynce. A mnie aż roznosi, kiedy sobie o tem pomyślę. Ja muszę być w ruchu.

— No więc jakże z tym zawodem?

— Jeden jest tylko zawód na świecie: lekkoatletyczny! — Zośka zerwała się znowu, chwyciła majolikowy talerz i stanęła w pozie dyskobola.

— Zośka! na miły Bóg! połóż to! — krzyknęłam przerażona.

— Nie bój się Ciot, — zaśmiała się Zośka — dosyć jednej palmy. Mnie samej przykro, bo to była ulubiona palma mamusi. Kto wie, czy i ja w jej wieku nie zabawię się w „adwokata i róże"?... Ale tymczasem to ja jednego tylko pragnę: latać, latać, latać...

— A zatem pilotaż?

— Może? a może i konstrukcja samolotów. Sama nie wiem... Tylko jeden w tem wszystkiem jest sęk. Co ja zrobię z bachorami, jak będę latać...

— Z jakiemi bachorami?

— No niby z dziećmi... Bo ty nie wiesz, Ciot, że ja wyjdę zamąż i będę miała kupę dzieci, o, takie schodeczki pod sufit...

— Doskonale! — roześmiałam się. — I jak to pogodzisz z powołaniem lotniczki.

— Już wiem! Będę pędraki sadzała do samolotu. Niech się przyzwyczajają do stratosfery. To nawet pedagogiczne. Młodości! ty nad poziomy...

— Dosyć masz ryzykowne teorje wychowawcze. Ale mam nadzieję, że w praktyce to będzie wyglądało inaczej. Ale powiedz mi, Zośka, jakże to tam będzie z tem „zamąż". Bo dotychczas nie zauważyłam, żebyś którego z chłopców obdarzyła specjalną sympatją. Ciekawa jestem, jak wygląda twój ideał mężczyzny.

— Ideał, jak to ideał, nie chodzi po ziemi. Ja tymczasem o ideałach nie myślę. Wiem tylko, jakich chłopców nie lubię...

— !

— Nie cierpię bubków!

— A kogo ty nazywasz bubkiem?

— Takiego pętaka, co ma zawsze doskonale zaprasowane spodnie, nieposzlakowane manjery, lepetynę ulizaną, a w tej lepetynie faszerowaną kapustę i zdaleka już od niego zalatuje fryzjerem i nudą. Jednem słowem taki typ, co to nasza mademoiselle nazywa „un jeune homme modele".

— A tybyś jakiego chciała?

— Jabym chciała takiego, coby mi we wszystkiem imponował. Niech sobie ma nawet trochę pogniecioną marynarkę i czuprynę, jak strzecha, ale niech ma bicepsy jak postronki, niech tańczy rumbę, jak anioł, niech się boksuje jak djabeł, i niech żuje gumę, jak hipopotam, jak mu powiem impertynencję, to niech mi nie oznajmia przez nos jak indor: „z kobietami dyskusja jest niemożliwa", tylko niech mi dowiedzie, że jestem gęś, to się wtedy pogodzimy.

— A o czem ty Zosiu, z chłopcami rozmawiasz?

— O wszystkiem, Ciot. O sporcie, o biurze, o książkach. Wczoraj na pączkach u Heli mówiliśmy o „Świecie Dziewcząt". Wiesz, Ciot, to nasze pismo dla takich kóz, jak ja. Bałam się z początku, że to będzie znowu jaki „Pielgrzym z Dobromila", albo „Wesele sikorki", ale nie! to całkiem klawe pismo Nic nie cuchnie starą panną. Ciot powiedz, czy ty znasz te panie ze „Świata Dziewcząt"? Czy bardzo balzakowskie?

— Co ty chcesz przez to powiedzieć?

— No takie, co to noszą amerykańskie okulary, palą cygara, mówią basem i mają płaskie stopy.

— Cudownie sobie wyobrażasz balzakowską kobietę, niema co mówić. Ale czego ty właściwie chcesz od tych pań ze „Świata Dziewcząt?", mały barbarzyńco?

— Chciałabym o rozmaitych rzeczach z niemi pomówić, o tak, poprostu, poswojemu. A nie wiem, jak to zrobić...

— Wiesz co, Zosiu? Najlepiej do nich napisz o wszystkiem, co cię interesuje, co cię niepokoi, co chciałabyś widzieć w „Świecie Dziewcząt". Jeżeli krępujesz się podpisywać list swojem nazwiskiem, obierz sobie jakiś pseudonim. Mam wrażenie po dzisiejszej przygodzie z palmą, że „panna z mokrą głową" doskonaleby do ciebie pasowała...

— A do siebie, Ciot, zupełnie nie pasuje złośliwość. Ale zresztą jesteś kochany człowiek!

— Dziękuję za uznanie. Chcę je właśnie na miejscu zdyskontować. Czy nie mógłbyś nasmarować moich nart? Podobno, Zosiu, jesteś mistrzem w tym fachu?

— Ciot! to ty razem ze mną na narty? — Ciot! ja ryczę z radości, jak bawół! Ciot ty jesteś więcej, niż kochany człowiek, ty jesteś...

morowa facetka!

Ciot....Ka.

CRANICE SAMORZĄDU

Często przy organizowaniu samorządu spotykałem się z dość dziwnem zjawiskiem. Oto klasy, w których miał powstać samorząd, podlegały daleko idącym nadziejom i złudzeniom. Zdawało im się, że samorząd ujmie w swe ręce niemal całkowicie ster rządów w szkole. Podam najjaskrawszy tego przykład z przed czterech lat. Działo się to w gimnazjum, do którego uczęszczało stosunkowo sporo młodzieży niezamożnej. Dyrekcja udzielała wielu ulg. Na zebraniu organizacyjnem samorządu przewodnicząca — uczennica VIII kl., bardzo dzielna i wysoce uspołeczniona dziewczyna — podała projekt, aby wszystkie podania o obniżenie wpisu przechodziły przez Zarząd samorządu. Kiedy zwróciłem uwagę, że jest to niemożliwe, przewodnicząca zdawała się być tem zaskoczona. Później podjęła ze mną dyskusję, dając cały szereg argumentów za swoją tezą. Argumenty te były logiczne i przemyślane, ale cała sprawa nie nadawała się do dyskusji, bo zwalnianie od wpisu przekracza granice kompetencji samorządu. Rezultatem przerwania dyskusji były posmutniałe miny i rozczarowanie, co dzieje się zawsze, gdy nas zawiodą zbyt daleko sięgające nadzieje.

Zachodzi pytanie, co było źródłem tych nadziei i złudzeń?

Otóż niewątpliwie mamy tu do czynienia z niezrozumieniem istoty słowa i pojęcia „samorząd".

Samorząd jest organizacją, która w istocie swej nie ma uprawnień *prawodawczych*. Działa w ramach praw ogólnych szerszej organizacji (szkoły, państwa i t. p.), wprowadzając te prawa w życie.

Przykłady najlepiej nam to uświadomią. Istnieje np. samorząd gminny. Zakres jego działania jest podwójny, t. j. załatwianie spraw własnych, oraz zleconych przez państwo. Do pierwszych należy np. zarząd swoim majątkiem, do drugich np. sporządzanie list wyborców w myśl ustawy o powszechnem głosowaniu do sejmu.

Podobnie jest z samorządem szkolnym.

Do zakresu „własnego" wchodzić będą takie zadania, jak zbieranie i administrowanie składkami, czyli funduszem klasowym, organizacja sklepiku szkolnego i t. p., a do zakresu „zleconego" — przestrzeganie praw obowiązujących w danej szkole

Ten drugi zakres ma nie mniejsze znaczenie od pierwszego. Wiele praw, zakazów i nakazów, postawionych przez szkołę bez wciągnięcia do ich przestrzegania samorządu, wydaje się drakońskiemi zarządzeniami i niczem więcej. Charakter ten jednak niknie zupełnie, gdy się te prawa przemyśli i przetrawi z samorządem.

Znów przykład z życia szkolnego uwidoczni nam to najlepiej.

Istnieje takie „surowe, drakońskie" prawo: Nie wolno podpowiadać!

W praktyce wygląda to tak, że nauczyciel siedzi zmarszczony na katedrze i coraz-to w inną stronę rzuca oczami, by dojrzeć niewidoczną pracę warg uczennic podpowiadających. Zaś Wy z niewinnemi minami, przybieracie wygodne do podpowiadania pozycje i głosem cichutko szemrzących strumyków leśnych sączycie do ucha odpowiadającej wiadomości, których ona nie posiada. Żadne stawianie pał, odsyłanie na miejsce nic tu nie pomoże! Wywoła tylko większą ostrożność w udzielaniu koleżeńskiej przysługi „ofierze".

Gdy jednak sprawę tę odda się samorządowi — ten zrozumie, że podpowiadanie jest przysługą, obliczoną na bardzo krótką metę i że nie należy podpowiadać, a douczać mniej zdolne. Wówczas to, co było przekroczeniem prawa szkolnego, zmieni się na społeczny czyn. Samorząd zorganizuje samopomoc naukową i zdolniejsze zaczną pomagać mniej zdolnym. Podpowiadanie zniknie, a na jego miejscu rozwinie się samopomoc społeczna. *Prof. J. Waśniewski.*

GASTON CH. RICHARD



CZAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANJA HEYMANOWA

Wyjęła z biurka kryształowy kubek i przeszła do sąsiedniej umywalni, której okno było szeroko otwarte, na noc, wysrebrzoną księżycową poświatę.

Nie zapalając światła, z pewnością ruchów, jakie daje długie przyzwyczajenie i doskonała znajomość terenu, skierowała się do kranu. W tej samej chwili, rzuciwszy mimowoli okiem na wewnętrzny dziedziniec fabryki, spostrzegła jakiegoś mężczyznę, w niebieskim kombinezonie, używanym przez pracowników warsztatów. Pod pachą niósł jakiś tłumoczek i zmierzał pośpiesznie w stronę biur rysowników.

— Co ten człowiek tu może robić, o tej porze? — pomyślała Janka.

Postawiwszy nienapełniony jeszcze kubek na stoliczku, wychyliła się przez okno. Mężczyzna zniknął w cieniu jaki padał od jednego z budynków.

— To nie jest Philippon — myślało dziewczę. — Ani jego syn... Dokąd szedł ten człowiek? I co zamierzał?

Zastanawiała się przez chwilę i nagle wspomnienie, jak błyskawica, przeszyło jej [illegible]

— Plany „Kormorana"... Nadeszły dziś rano i zostały zamknięte w biurze pana Lemounier..

Pobiegła do swego pokoju, schwyciła słuchawkę automatycznego telefonu i połączyła się z odźwiernym.

— Hallo, hallo! Czy to pan Philippon? Tu Janina Bel. Dopiero co widziałam jakiegoś nieznanego mężczyznę na wewnętrznym dziedzińcu. Niósł paczkę.. Musiał wejść przez biura rysowników.. Czy panu nie wydaje się to podejrzane? Może chce ukraść plany?

Usłyszała siarczyste zaklęcie.

— Do stu piorunów! Co to za bubek? Dziękuję, panno Janino. Hej tam, Wiktorze, bierz [illegible]!

Janka odwiesiła słuchawkę. W tej samej chwili zdawało jej się, że słyszy głuchy wybuch. Nie tracąc czasu, pobiegła do umywalni i wychyliła się przez okno. I naprzeciwko, zobaczyła wyraźnie, poprzez szyby, ogień, który ciągle się wzmagał.

— Pożar! — krzyknęła. — Podłożył ogień!... Łajdak!

Wróciła do biura, nastawiła tarczę telefonu.

— Hallo! hallo! — krzyczała... — Policja, na pomoc! Tu, fabryka Durand-Gardel... Ktoś podpalił biura rysowników... Tak.. Widziałam i słyszałam. Zaalarmować straż ogniową..

Odwiesiła słuchawkę, schwyciła pęk kluczy, przeszła do sąsiedniego pokoju, i stłukła szkło aparatu alarmowego.

Natychmiast, w ciszy nocnej, rozległy się przeciągłe rytmiczne wycia syren: lampy łukowe zapaliły się..

— Przedewszystkiem, należy uratować plany „Kormorana" — pomyślała Janka.

Wzięła klucz, który otwierał wszystkie drzwi i, nie wahając się, podążyła naprzeciw niebezpieczeństwu.

* * *

Przez sale biurowe i warsztaty, oświetlone teraz, jak w jasny dzień, Janka biegła pędem. Im bardziej zbliżała się do miejsca, gdzie się kierowała tem wyraźniej narzucał się jej zmysłom niebieskawy dym, o kwaśnym zapachu. Później poczuła nagle okropny swąd spalonej gumy.

— Mój Boże! czy uda mi się przejść? — pomyślała Janka, z lękiem.

Otworzyła jeszcze jedne drzwi.

Teraz otoczył ją czarny, gęsty dym, buchający żarem... Na jakimś wieszadle spostrzegła czapkę i bluzę z czarnego materjału. Czapkę wcisnęła głęboko, aż po szyję, włożyła na siebie bluzę, i kaszląc i krztusząc się, dotarła do drzwi pracowni rysowników. Otworzyła je i cofnęła się przed płomieniami, które w wężowych skrętach, czarnych i purpurowych, tańczyły jakiś piekielny taniec.

Paliły się stoły i szafy, linoleum, pokrywające podłogę, zwijało się i wydymało. Pozostawało jeszcze otworzenie jednych drzwi, znajdujących się w odległości dziesięciu metrów, drzwi zamaskowanych płóciennem obiciem. Za temi drzwiami przechowywano plany, szkice i rysunki motorów i aparatów, znajdujących się w robocie.

Czy dotrze aż tam?!

Odważnie rzuciła się naprzód. Zasłaniając dół twarzy chusteczką, trzymaną w lewej ręce, ze schyloną głową, zbliżyła się do drzwi. Wtedy poczuła na sobie śmiercionośny oddech wszystko niszczącego żywiołu, ale nie cofnęła się. Chociaż zdawało jej się, że stąpa po rozżarzonych węglach, trwała jednak w swem bohaterskiem postanowieniu.

Drzwi..

Wisiały na zawiasach zdeformowane wybuchem petardy, przy pomocy której starano się je wysadzić, widocznie po bezskutecznej próbje otworzenia, gdyż przed nimi leżały porozrzucane odpowiednie narzędzia.

Janka uświadomiła to sobie błyskawicznie.

Stękając, dusząc się, z piekącemi oczami, starała się sforsować zamek. Ale drzwi ciągle jeszcze nie ustępowały. Dziewczyna schwyciła rozpalone obcęgi i przy ich pomocy chciała odsunąć zasuwy.

Ustąpiły odrazu... A był już najwyższy [illegible]

W środku pracowni, poza Janką, podłoga zapadała się w chwili, gdy dziewczyna mogła już wcisnąć się w szparę otwartych drzwi.

Plany były tam, jeszcze nienaruszone!

Janka wydała jednocześnie okrzyk radości i strachu.. Plany miała pod ręką, ale zapadnięcie się podłogi odcinało jej odwrót, w dodatku zaś pokój, do którego dotarła z takim trudem, posiadał zakratowane okno. Między te pionowe stalowe pręty mogła wcisnąć plany i wyrzucić je na podwórze, ale nie mogła prześlizgiwać się przez nie sama. Wyrwać choć jeden?... O tem nie można było marzyć. Co robić?... Przedewszystkiem uratować cenne rysunki planów hydroplanu, ochrzczonego już zgóry imieniem „Kormoran", aparatu, w którym pokładano tyle nadziei.

Wszystkie te myśli przebiegały z niesłychaną szybkością przez głowę dziewczęcia. Janka rzuciła się do okna i otworzyła je na oścież. Prąd świeżego powietrza, którego temperatura wydała jej się lodowatą, wcisnął się do pokoju, przytłumił na chwilę płomienie i dym, i pozwolił dziewczęciu odetchnąć swobodniej.

Schwyciła ciężkie kartony z rysunkami i, jeden po drugim, zanosiła do okna. Było ich sześć, dużego formatu.

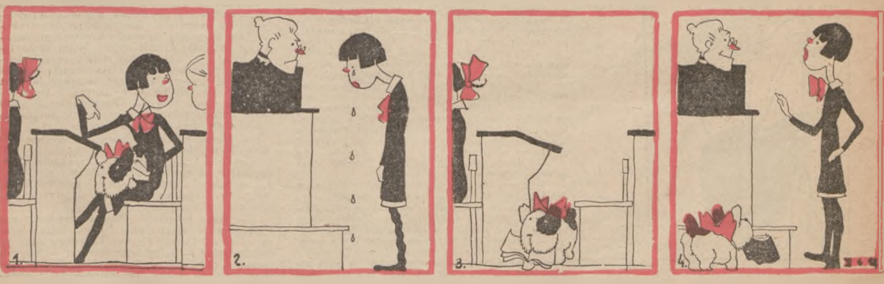
Kiedy już odnosiła ostatni, w tłumie podniosła się wrzawa. Zauważono ją. Było tam ze stu ludzi, otaczających „ojca Philippona" i jego syna. Wszyscy, w podnieceniu, wołali coś do dziewczyny, znajdującej się za kratami okna, jakieś słowa zachęty i otuchy... Wszyscy oni wiedzieli, że ten pokój jest pułapką, w której ogień zabarykadował ją niemiłosiernie..

— Ocalcie plany... plany „Kormorana"! — krzyczała Janka z całych sił.

Pchnęła kartony, które upadły na dziedziniec: widziała, że je podnoszono... Cel, dla którego zaryzykowała swe młode życie został osiągnięty. Teraz należało próbować uratować się samej. Na chwilę zrobiło jej się słabo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZOSIA I DŻOKI



1. Mówią, że tylko głuptasy przychodzą z psami do klasy.

2. Pani pyta — Zosia nie wie — pani zerka w srogim gniewie.

3. Dżoki nosek w pulpit mtyka — Jest! — Łacińska gramatyka!

4. Brzydko, gdy się ściąga, ale Dżoki znalazł się wspaniale!

MARJA DĄBROWSKA

CO JA ZROBIŁAM?...

(Dokończenie)

Okna klas, wychodzących na ogród, były zabezpieczone zamiast okiennic równoległemi prętami. Szczupłość Agnisi pozwoliła jej się między niemi z łatwością przecisnąć. Zsunęła się w mokre zarośla i upadła, poślizgnąwszy się na zbłoconym gruncie. Ogarnęła ją mglista, sina wilgoć, śród której szczekał pies.

Helena stała już przy uchylonem oknie i wciągnęła ją przez takie same pręty do wnętrza.

— Co ty robisz, warjatko! — zgromiła ją ze zmarszczką na czole i śmiechem w oczach.

— Cicho! Masz pączki. Ale jeden upadł mi w błoto. Ojej! — przeraziła się Agnisia — patrz, co z mojemi butami!

Były obłożone skibami tłustego błota.

— Czekaj, zdejmę je i oskrobię. Masz jaki patyk?

— Nie. Ale zaraz... Jest pałeczka do pokazywania na mapie.

Agnisia oskrobała za otwartem oknem buciki, postawiła je na podłodze, zamknęła okno i usiadła w pończochach na ławce. Była przejęta nietyle losem Heleny, ile tem, co zrobiła przełożona.

— To jest niesprawiedliwość — srożyła się pocichu. — Przecież tyle uczenic nie chodzi na czytanie. A że cię złapała z „Lamparciem życiem", to przecież mogła przypuszczać, że nie ty jedna to czytasz. Żałuję, że ją lubiłam.

— Ja ci już dawno mówiłam, że ona jest do mnie uprzedzona — potwierdziła Helena. — Ale teraz koniec. Po tem, co mi zrobiła, nie mogę tu być dłużej. Jak mnie tylko wypuszczą, ucieknę. Ale przedtem narobię starej takiego bigosu, że mnie popamięta. Jeszcze nie wiecie do czego jestem zdolna — odgrażała się.

W Agnisi powstał na te słowa raptowny sprzeciw. Pragnęła od Filińskiej raczej poczuwania się do jakiejś winy, chciała może nawet usłyszeć obronę przełożonej.

— Helena — rzekła ponuro — daj spokój. Musisz przyznać, że ty lubisz jej specjalnie robić na złość.



Szczupłość Agnisi pozwoliła jej się z łatwością przecisnąć...

— Jeżeli przyszłaś, żeby mi mówić takie rzeczy, to się wynoś. Ja nie robię na złość, tylko nie chcę, żeby mnie urabiali jak ciasto. Ja chcę być sobą.

— Nie rozumiesz mnie — zaprzeczyła Agnisia.

— Owszem, rozumiem. Ja cię już dawno przejrzałam. Ty się zawsze lubisz do wszystkiego przystosować. Dopiero wtedy jesteś szczęśliwa.

— Nic podobnego. Ale, owszem tak, tylko że...

Zaczęły się obie przekrzykiwać szeptem. Agnisi stanął nagle w oczach zielony parawan, a za nim Berta z Alicją. — Może do mnie też kto teraz tak tęskni, jak ja wtedy do panny Alicji — pomyślała ni stąd, ni zowąd, gubiąc wątek sprzeczki.

— Ja się wcale nie przystosowuję tak, żeby aż przestać być sobą — podjęła blado. — Mnie się zdaje... mnie się zdaje... czekaj, bo mi się pomyli... Jednem słowem. To najłatwiej sprzeciwianiem pokazywać, że to ja... Możesz mi nie wierzyć jak chcesz, ale ja się czuję sobą, chociaż się nie sprzeciwiam... choć się zgadzam...

— ...żeby cię prowadzili na pasku — tak?

— Słuchaj, ty mnie łapiesz za słowa! Mnie wcale nie prowadzą na pasku. W szkole muszą być jakieś zwyczaje, porządki... A ja i tak, co trzeba, to zrobię podług siebie.

— To ci się zdaje.

— Nie! Zresztą sama kiedyś mówiłaś, że jestem inna od wszystkich, chociaż się o to nie staram.

— A to może nie jest łapanie za słówka?

— Więc dobrze, wszystko jedno, ale to nieprawda, żeby stara chciała naszego zła.

Wirowało w niej mnóstwo myśli, którym rada była dać wyraz, ale nie czuła się do tego na siłach. Miała niejasne przeświadczenie, że jeśli w szkole są jakie złe rzeczy, to napewno nie te, o które chodzi Helenie, to napewno takie, których one może nie są w stanie nawet spostrzec, a cóż dopiero mówić o tem i sądzić. Myśli te ginęły nim się zdołały sformować, tak że w końcu rzekła tylko:

— Moja kochana. My powinnyśmy być dla *nich* też trochę wyrozumiałe. Przecież oni, *dorośli*, nie mogą nas całkiem zrozumieć. No więc trudno, nie mogą!

— Co ty tam wiesz — rozgniewała się Helena. — Chcesz to ci powiem jaka jest stara. Ona mnie trzyma zadarmo! Rozumiesz? No! I wyobraża sobie, że ma dlatego nademną Bóg wie jakie prawa. Dlatego mnie prześladuje. A ja nie mogę tego uznać!

Agnisię to zaskoczyło i strasznie zabolało. Z gniewną żałością odstąpiła od swoich racyj.

— To co innego — zaczęła krzyczeć. — To jest poprostu okropne! Ja jej to w oczy powiem! W oczy powiem. My zbierzemy pieniądze i zapłacimy za ciebie w takim razie. Ja pierwsza... ja pierwsza...

— Agnicha, nie wrzeszcz! Słuchaj, przecież ona nie wie, że ja wiem. Niepotrzebnie mi się wyrwało... A ty zaraz taki hałas podnosisz!..

Właściwie wrzeszczały już obie, zapomniawszy o wszelkich ostrożnościach.

Raptem umilkły, gdyż usłyszały, że gwar w sąsiedniej klasie, gdzie gromadziły się pensjonarki, ucichł. Jednocześnie ktoś uderzył pięścią w ich drzwi. Markotny głos Dziewońskiej sarknął półgłosem w szparę:

— Nie ryczcie tak, idjotki! Przecież stara usłyszy. Idziemy do was!

Helena i Agnisia zagapiły się, czekając co dalej będzie. Niebawem do szyby zaczęły przywierać twarze. W ogrodzie wszczął się ruch, tłumiony szczebiot i śmiech. Przy drugim oknie to samo. Pies szczekał z rosnącą zajadłością.

— Otwierajcie! Najpierw chude! Klara, przełaź! Ale Kosteckie się nie zmieszczą! Za grube! Wracajcie! Czekajcie chwilę, tu jeden pręt się wyjmuje! Do góry go! Nie tak! Nie tak! Podnoś! Pociągnij! Trzymaj! O już — Lola! Wlewaj się galareto!

Wnet z piętnaście dziewcząt, wszystkie, które nie miały wychodnego do krewnych na miasto, zaroiło się w klasie. Helena tarzała się ze śmiechu.

— A to bycze facetki. Którędyście polazły do ogrodu?

— Przez furtkę koło wychodków. Była otwarta. Gdzie chałwa? Dawać chałwę! A reszta pomarańczy? Pogubiły zwierzęta w ogrodzie! Panny! Zatkajcie twarz Klarze! Już się nadyma! Zaraz zacznie kwiczeć, jak zarzynane prosię. A kto ma czekoladę? Ale Kosteckie zuchy, co? Przetarabaniły się!



— *„Dziurawe..."*

Siostry Kosteckie, jedna z trzeciej, druga z czwartej klasy, były nadzwyczajnie do siebie podobne i takie grube, że gdy raz siadły w ławce, długo trzeba było czekać, żeby ruszyły z miejsca. Trudno im było wydostać się z poza pulpitów. Jeżeli się jednak nakoniec wydostały, widać było, że są między niemi duże różnice. Lola poruszała się ociężale, z trudem zachowując jaki taki kształt ludzki. Marta mimo tuszy była sprężysta i lotna, jakby ją całą wypełniało powietrze. Gdy tylko stanęła na nogach, wnet zaczynała skakać, wirować jak bąk i pląsać jak balonik w powietrzu. I teraz odtańczyła swoje pomyślne wepchnięcie się przez okno, poczem zabrano się gromadnie do pożerania chałwy, czekolady i pomarańcz.

— Marta, czynię cię uważną, że nie jesteś to sama do tej chałwy!

— To ci fajności agapa! — krzyknęła Klara, popisując się swoją znajomością historji.

— Agapa! Agapa! Agapa! — jęły powtarzać wszystkie, wijąc się ze śmiechu z powodu tego słowa.

— Teraz tańce! — Marta uczy nas „pas d'Espagne". — Ram - pam - pam! Ram - tarara - ra! — Cicho! Panny! Przysięgałyście, że będzie cicho! — Ściągniecie starych! — Starych niema, nie wiecie? — Poszli chłodzić gniew na deszczyku. — Lolka, ty galganico! Czemuś wcześniej nie powiedziała! Niema żadnego Cerbera - bera - bera! A Tabaczka?!! — Tabaczka

płacze w swoim pokoju nad losem ojczyzny. — Ty głupia nie kpij z tego! W takim razie — para za parą! Ram - pam - pam — Rram...

Nagle wszystko znieruchomiało. Klucz zgrzytnął — w drzwiach stanęła pani Wenordenowa. Dziewczęta skamieniały, niektóre tylko, wyciągając nieznacznie ręce za siebie, zrzucały z pulpitów w mrok, między ławki papiery z resztą uczty

Pani Wenordenowa stała chwilę tak zamyślona, jakby zapomniała po co przyszła. Następnie puściła się swoim zwyczajem przed siebie, obiegając dokoła klasę. Pod szczytową ścianą przecisnęła się z trudem przez wąską przestrzeń za ławkami i żwawo mknęła dalej. Wreszcie, okrążywszy kilkakroć, jakby wrosłe w ziemię dziewczęta, stanęła koło katedry.

— No, — spytała zatrważająco spokojnie swoim ciepłym i miękkim głosem. — Może się teraz dowiem, co tu właściwie robicie?

Po chwili zrozpaczonego milczenia Zośka Dziewońska jęknęła:

— Siedzi... siedzimy w kozie, proszę pani.

— Bo my wszystkie — bąknęła Joasia Przyjemska.

— Bo my wszystkie — podchwyciła natychmiast reszta.

— Cii!.. — poskromiła je pani Wenordenowa, jakby mimo zadanego pytania w gruncie rzeczy nie chciała odpowiedzi.

— ..czyta...

— Tss! — powtórzyła przełożona groźnie.

— ..czytałyśmy „Lamparcie..." — brnęła mimo to Joasia Przyjemska.

— Nie macie nic do gadania — przerwała pani Wenordenowa.

Okrążyła znów pokój, stanęła przy uchylonych oknach, zamknęła je i chwilę im się przypatrywała. Następnie, potknąwszy się o buciki Niechcicówny, podniosła je, a spojrzawszy na usiłujące skryć się nogi Agnisi, a następnie za buty, rzekła:

— Dziurawe. Katar pewny.

Dziewczęta westchnęły z ulgą i poczuły skłonność do śmiechu.

Pani Wenordenowa założyła ręce na piersiach i, spoglądając to na siostry Kosteckie, to na okno, spytała:

— Bardzo dobrze, ale w jaki sposób przedostały się tu Marta i Lola?

Teraz już śmiechy zaczęły parskać śród przestraszonej gromadki.

Marta wystąpiła naprzód i objaśniła trochę drżącym głosem:

— Jeden pręt wyjmuje się, proszę pani. W tamtem oknie. O ten

— Aha. Bardzo dobrze. Zajmiecie się tem, żeby stróż to jutro naprawił. Świetnie umiecie pokazywać drogę złodziejom. I podłoga — cacy! Żeby mi z tego błota nie było na jutro rano śladu

Stała i długo kiwała głową, aż im się w końcu znów zrobiło nieswojo. Naraz jej macierzyńskie oblicze przybrało srogi wyraz.

— A teraz marsz stąd — rzekła ostro. — Idziemy do teatru. Mam trzy loże. Dają „Halkę"

Między pensjonarkami wszczął się radosny rozruch: — Co? Jak? Naprawdę? Wiwat! Dziękujemy! — zagwarzyły i raptem przycichły.

— A Helena? — krzyknęła Agnisia. — Helena pójdzie?

Pani Wenordenowa rozgniewała się.

— A cóż wy myślicie? Że ja dla niej będę robiła jakieś wyjątki? Może mam ją samą o-[illegible]

Nie dano jej skończyć.

— Hura! Niech żyje pani! — Krzyki przeszły w zbiorowy nieskładny śpiew:

— Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam!! — a śpiew znów rozpadł się w krzyki:

— Do góry! Do góry panią! Do góry!

— Dosyć! Udusicie mnie! Wy smarkate! Co wyprawiacie! Puszczajcie! I śpieszcie się! Za pół godziny wychodzimy Marsz! Już was tu [illegible]

— No, Helena — drażniła się potem Agnisia. — Może ty wolisz nie iść? Przecież miałaś uciekać. Chcesz, odprowadzę cię na szosę?

— —Agnicha, ty odemnie jeszcze dzisiaj dostaniesz! I nie mówiłam ci, że stara jest fajna facetka? A ty już jej chciałaś do oczu skakać!

Drugie piętro zawrzało od ruchu i nawoływań.

— Marta! Słuchaj, ty jesteś najśmielsza do kucharki! Zagrzej mi szczypce w kuchni! — A w cylindrze od lampy nie łaska? — Nie waż się, ty! Szkło pęknie i przy czem się będziesz ubierać? — To idź tak! — Nie, ja z takiemi włosami nie pójdę. — Słuchajcie! Czy możemy iść w białych bluzkach? — A coś ty myślała! — Naturalnie! — Jeszczeby też! — Dziewice! Ale nam się dziś upiekło! — Chwat z naszej starej! — Morowy chłop z niej. — Oho, ho, zobaczycie! Będzie jej się trzeba mocno za to wysłużyć. — Dobra sobie! A ty coś chciała? Bo to nie warto? — Ojej! Gdzie ja sobie uprasuję wstążkę do włosów? — Gdzie ja sobie!... — Na kloszu od lampy. Nie potrafisz? Dawaj, ty niedołęgo! Prędzej!.. — „Szumią jodły na gór szczycie „szumią sobie w dal"! — Tam są podobne cudowne tańce góralskie. — O Jezu, ja oszaleję ze szczęścia!

Na dole pan Wenorden próbował skrzypiec. Zadźwięczały ckliwe tony piosenki:

— Jako od wichrów krzew połamany
tak się duszyczka stargała...

Pani Wenordenowa biegała w czarnej jedwabnej sukni po jadalni, łamała ręce i powtarzała w rozterce:

— Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam?! Pokpiłam sprawę? Czy nie pokpiłam sprawy?

Koniec.

ROBOTY RĘCZNE

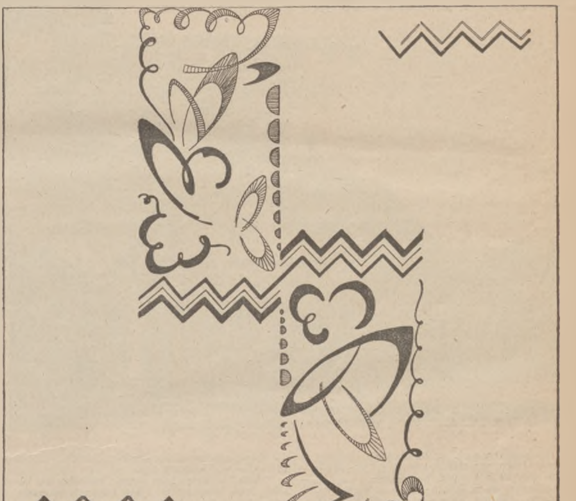
Serwetka haftowana

Załączona serwetka wyhaftowana jest na płótnie samodziałowem w kolorze szarym lub zlekka bielonym.

Do haftu trzeba użyć bawełny D.M.C. Nr. 25 lub 30 w kolorach czarnym i czerwonym lub innych. Ciemne linje na rysunku trzeba wykonać haftem czarnym, jasne — czerwonym. Haft wykonać trzeba ściegiem płaskim.

Po przerysowaniu wzoru przez kalkę, trzeba najpierw oznaczyć nitką kontury a dopiero potem zacząć haft.

Serwetkę można wykonać obrębkiem mereżkowym albo obrobić pikotkami szydełkiem bawełną czarną lub czerwoną.



SZARY KRAJ



OKOLICE WARSZAWY.

Teofil Lenartowicz tęsknił do tych stron i opowiadał o nich ślicznemi, barwnemi i czułemi rymami. Ale wszyscy zawsze uważali to za przesadę i twierdzili, że tęsknota za krajem upiększyła w jego wspomnieniu i krzywą wierzbę i niskie chaty i pola i Wisłę. Właściwie wcale nie było czem tak się zachwycać w tej dalekiej Florencji!

Okolice Warszawy? To bardzo brzydkie okolice. Niezajmujące, szare, monotonne płaskie... Niema wartkich potoków„ ani lazurowych jezior, ani morza, sama tylko Wisła: ogromna, powolna i poprzerastana ławicami płowych piachów — wpośrodku, a stronami zmierzająca ku niej tu i tam wątła i płytka rzeczułka o zielonej wodzie: Świder albo Jeziorka. Nie ma gór wyniosłych ani śnieżnych szczytów, same tylko piasczyste wały, naniesione przez lodowce i brzeg wiślany obrywisty i stromy. Nie ma groźnych puszcz, rojących się od dzikiego zwierza. Zaledwie tylko wysokie sosny pod Otwockiem i bujne lasy kabackie pod Wilanowem i puszcza kampinowska, gdzie kwitną na porębach liljowe wrzosy. Nie ma także pachnących wspaniale kwiatów o nieznanych imionach. Wszystko co tu nam kwitnie dokoła, to pospolita biedota roślinna: rzadkie zboża, spłowiałe wśród nich chabry, jaskry, mlecze i pachnąca żółta przytulia. I nie ma wspaniałych odwiecznych zabytków, budowanych przed wiekami. A może i są, tylko zapominamy ich często szukać. Jest Wilanów, jak rzeźbiony skarbiec pełen prześlicznych zabytków i Bielany, gdzie modlili się polscy królowie i czerwone poszczerbione mury Czerska i stary klasztorny kościół w Czerwińsku o wysokich odwiecznych wieżach i obronny Brochów, ukryty wśród lasów, któremu wojna odtrąciła śpiczaste dachy wież i gdzie przed laty ochrzczono małego Fryderyka Szopena. Ale my o tem nie pamiętamy, nauczyliśmy się mówić, pod dyktando: brzydkie, niezajmujące, szare, monotonne, płaskie... Może to i prawda, ale cóż z tego?

Życie ludzkie jest także niezajmujące w większości przebiegów. Jest także monotonne, szare i płaskie, wtłoczone w klatki domów, podwórek i ulic wielkiego miasta. Więc poco mamy szukać dla jego ozdoby jakichś zamorskich cudów i martwić się, że ich nie ma w pobliżu. Wystarczy często sam tylko bukiecik fiołków w szklance na oknie, drzewko wyrastające z pośród fliz trotuaru, płachta murawki na podwórku, pierwsze kaczeńce w koszu baby na rogu, albo pachnące kolorowe klomby Skaryszewskiego parku. O ileż bogatszy wobec tych wątłych upiększeń, musi się wydać przestwór woni i powietrza, spotykający nas tam, gdzie podmiejskie budy i drewniane szkaradne domostwa odsłaniają nareszcie przed okiem żywą mokrą ziemię, piach nadrzeczny, zarośla pełne ciemnych i słonecznych migotów, zakurzone i szorstkie miedze wśród kłosów.

Szeroko otwieramy okna na ulice i podwórza, by napłynął niemi rzeźwy oddech powietrza w ciasne pudełko pokoju. A puste, swobodne wyloty wszystkich świąt i tych pięćdziesięciu dwóch w roku niedziel łapczywie odwracamy ku „monotonnym i płaskim" okolicom Warszawy.



Czerwone i zgrzytliwe wagony miejskich tramwajów zawsze umieją nas wywieźć z samego środka miasta tam, gdzie już nie ma wysokich domów i automobilowego zgiełku, tylko właśnie płachta niebieskiej wody w Czerniakowie, albo rude sosny i zapach igliwia pod Miłosną. A pozatem są jeszcze przecież autobusy pachnące nieznośnie benzyną i okopcone staromodne kolejki: wilanowska, grójecka, marecka. Są statki parowe, które z tak ogłuszającym rykiem odbijają od przystani przy moście Kierbedzia, by nas wyrzucić na wysoki brzek Bielan, gdzie rosną stare dęby i sosny.

Wszędzie tam, za ślepemi, szczytowemi ścianami obdrapanych kamienic miejskich, za krzywemi, krytemi papą, daszkami domków parterowych, za błotnistemi rynsztokami Grochowskiej, Grójeckiej, czy Puławskiej ulicy, czeka nas przestronne niebo, widoczne aż do horyzontu.



W zimie to niebo bywa czasem ciemniejsze od zaśnieżonej ziemi, brudne kałuże zasnuwa chrupka błona lodu i Wisła zamienia swą żywą powierzchnię, w pofałdowaną skorupę. Śnieg mazowiecki bywa wątły i często pomieszany z gliną, topnieje szybko w dłoniach, ale mimo to, jakże lubimy biegać po trzeszczącej białej powierzchni łachy w Wilanowie, albo zjeżdżać na nartach, a często i bez nart, po wyślizganym zboczu na Bielanach. A kiedy ogromne, puchate pierzyny przygną do ziemi gałęzie drzew w parku łazienkowskim i w saskim ogrodzie, jest nam także bardzo przyjemnie.

Potem zaczynają dmuchać wiatrem ciepłe odwilże, żółta glina wyłazi z pod śniegu i stoimy długo na moście, patrząc, jak kry trą się o siebie, łamią z trzaskiem i przeganiają pchane lodowatą falą.

A potom już wszystko zaczyna się liczyć według kwiatów. Trzeba przemyślnie wytropić, gdzie najbliżej rosną te lub inne, jak do nich dotrzeć najłatwiej. Więc naprzykład, prawdziwe fiołki, najprościej rosną w samym środku Łazienek, a puszyste fiołkowe sasanki łamiemi na mokrych łąkach koło Marek i Drewnicy, a złote pierwiosnki-kluczyki, w tym czy innym dobrze znanym wąwozie. Czarne ciernie, które nakrótko, wiosną, pienią się całe w kłębach białych kwiatów można łamać, raniąc sobie palce nawet tuż, koło Czerniakowskiej rogatki, a drzew owocowych niewolno łamać nigdzie, ale kiedy kwitną biało i różowo, całe Mazowsze wydaje się przykryte misterną i bardzo pachnącą koronką. I tak jest dalej, w miarę zmieniających się pór roku, aż do ostatnich jagód głogu, cierpkich i zwarzonych przez mróz.

Powiem wam w tajemnicy, że w pewnym znanym mi lesie, o kilkanaście kilometrów odległym od miasta zrywam w czerwcu wysokie żółte pełniki, które podobno rosną tylko na podgórskich łąkach, a nad pewną mętną glinianką, w której odbijają się krzywe kominy opuszczonej cegielni, zbieram jesienią złotawe małe osty, podobne do kolczastych słońc, a na pewnej błotnistej międzyleśnej polanie, której niedość starannie pilnuje leśniczy, ścinam całe snopy zielonkawych storczyków - podkolanów, które potem i tak trzeba wyrzucać z mieszkania, bo zatruwają cały dom cudownym mocnym i złym zapachem.

Więc czy można tak mówić? Brzydkie, płaskie, monotonne okolice?

Dają nam przez cały długi rok swe niebo i ziemię, kwiaty i śpiew ptaków, barwy i zapachy. Dają nam swój roziskrzony mróz i swój nadwodny upał i noce pełne rechotu żab i gwiezdnego pyłu i rumiane świty.

Brzydkie, płaskie, monotonne okolice? Nieprawda!

Zabrnąć tylko w piachy, w suche pustynie nad Świdrem, w płowe odludzia, i jakże łatwo sobie wtedy wyobrazić, że to już Sahara! Zaplątać się w letni upał, pośród rzeczne wikliny, nad rzeką nago, w sportowym kajaku, czy to nie fale jakiejś Amazonki pełgają światłem pod słoneczną spieką? Na wiosnę woda stoi na niskich łąkach za Bródnem — wyobraźmy sobie, że to Polesie, topiące się w mokrej ziemi. A leżąc w gąszczu krzaków, jakże łatwo jest uwierzyć, że to dziewicza puszcza zamknęła ... mi swe wyniosłe drzewa, a nie zwykły las w Pyrach lub w Dąbrówce.

A samo tylko zwyczajne mazowieckie pole, czy to nie wystarczy: kłosy szorstkie i aż siwe małe wyczki, oplątane około ich podstaw, pachnący mocno rumianek i małe maki, gubiące bladawe płatki przy każdym podmuchu. Albo przydrożny rów, a w rowie nikłe niezapominajki i blade gwiazdki wodnistej rzeżuchy, a nad rowem polna róża o kwiatach z różowego atłasu, wygryzionych w deseń przez żuki. Albo zagajnik: suchy zapach igieł i młode świerczki o żółtych, mokrych świecach młodych igieł, a pod niemi cykorja blado-niebieska i jedwabna, szczotki żółtych nieśmiertelników i żywokost szafirowy i omszony.

Niedzielne ranki wstają nad światem, co siódmego dnia trochę rozleniwione poczuciem że nic czeka na nie żaden termin biurowy ani szkolny. Jeżeli nie pada jak na złość deszcz, ulice leżą wtedy puste i szare w ciepłym różowawym blasku słońca. Jakże niecierpliwie biegną po nich nogi w kierunku kolejowych i autobusowych stacyj, nadwiślańskich przystani, albo i tak, wprost przed siebie.

W jaką stronę do jakiej wody, pola, lasu wyprowadzi nas droga pomiędzy zakurzonych domów?

> Jedna dróżka do Pułtuska, druga do Warki,
> Boli gardło, śpiewać durno, trzeba gorzałki!
> Jedna dróżka od Warsawy, drugo do Rawy,
> Nie uwazaj, Kasiuleńko, ze ja kulawy...

Nam nie potrzeba gorzałki na bolące gardła. Nie jesteśmy także, na szczęście, kulawi... Mamy nogi zaprawione w harcerskich marszach i gimnastycznych skokach, nogi bardzo silne w grubych podkutych buciorach, albo w pantoflach na giętkiej gumowej podeszwie. Te nogi mogą nas zaprowadzić bardzo daleko.

Ale na przyszłą wiosnę, uda się nam może wydostać skądciś rower! Wtedy te nogi nie będą już rytmicznie stukać podeszwami o ziemię, ale zawirują jak szalone wraz z błyszczącym pedałem. Koła śmigną naprzód przez ulice, ku rogatkom i za rogatki. Wtedy poznamy naprawdę Mazowsze. Jak się rozkłada płasko po obu stronach wielkiej rzeki, jakie ma pola i lasy po prawej stronie Wisły suche i iglaste, po lewej mieszane, jak się wyciąga drogami na wszystkie strony: do Grójca i do Łowicza, do Modlina, Mińska i Otwocka. Poznamy te miasteczka: gdzie w którym stoją ruiny starego zamku lub pałacu, a gdzie wzniesiono nową fortecę o czerwonych murach, gdzie stoi odwieczna synagoga, a gdzie karczma z ganeczkiem na dwóch słupkach, gdzie jest wielka kolegjata z mnóstwem kaplic i wieżami o baniastych hełmach, a gdzie właśnie kościół średniowieczny cały z szarego chropawego kamienia. Dowiemy się mnóstwa ciekawych rzeczy o ludziach i o ziemi, zobaczymy, jak się tka wełniak i płótno i jak się nawozi pole. Poznamy naszych rówieśników, ubranych w płomienne, samodziałowe portki i kiecki łowickie i naszych rówieśników, jadących na wozie, okrytym podlaskim pasiakiem w drobne prążki, tych co pracują w podwarszawskich cegielniach i tych, co łowią ryby pod wysokim brzegiem Wisły, podziurawionym przez gniazda jaskółek brzegówek.

Zmęczeni, zakurzeni wracać będziemy z takich wypraw do domu, niosąc jako łupy, wedle uznania i upodobania, co kto woli, kwiaty, kamienie, motyle, czy fotografje. Ale to pewne, że nie powtórzymy już nigdy bezmyślnie za innemi: Mazowsze? Niezajmujące, szare, monotonne, płaskie...

H. Mortkowiczówna.



W zimie niebo bywa ciemniejsze od zaśnieżonej ziemi...





...iedy ogromne, puchate ...erzyny przygną do ziemi gałęzie drzew...

10 DNI w ŚWIECIE

SZKOŁA PAPUG.

W Berlinie istnieje specjalna szkoła, w której „profesorowie" uczą papugi różnych sztuk, między innemi najtrudniejszej — mówienia. Nauka odbywa się dwoma sposobami. Pierwszy polega na obudzeniu uczucia zazdrości jednej papugi względem drugiej. W tym celu stawia się przed papugą, nazewnątrz klatki, duże lustro. Papuga, odbijając się w niem, jest przekonana, że widzi przed sobą drugą papugę. Poza lustrem zaś staje, niewidoczny dla papugi „profesor", który tak długo mówi jeden wyraz, albo kilka, lub śpiewa melodję, aż ptak dochodzi do przekonania, że to gada druga papuga, mędrsza od niej i więcej umiejąca. I przez zazdrość zaczyna to samo gadać, lub śpiewać, co jej rzekoma współzawodniczka.

Drugim sposobem jest nauczanie za pomocą płyt gramofonowych, które ustawione tuż obok papugi powtarzają tak długo jakieś słowo, czy piosenkę, aż zniecierpliwiona papuga sama zacznie je naśladować. Obecnie w jednym z music - hall'ów paryskich popisuje się właśnie jedna taka „wykształcona" papuga, która swemi produkcjami budzi ogólną sensację.

KOZA — „OWCZARKIEM".

W wielu krajach, m. in. w południowej Afryce, w Szwajcarji, koza zastępuje psa owczarskiego i prowadzi nieraz całe stado owiec na pastwisko. Jeżeli podczas burzy, lub deszczu zwierzęta swoim zwyczajem zbijają się w jedną gromadę, tak, że grozi im niebezpieczeństwo uduszenia, koza wpada w środek i rozprasza je



ZA PROGIEM SZKOŁY

MARYLKA

Kiedy Marylka była jeszcze małą uczenicą, w czarnym fartuszku i z wielką kokardą nad lewym okiem, już odrazu sfery miarodajne zadecydowały, że wbrew oczekiwaniom nie wyrośnie ona nikomu na pociechę a najmniej rodzicom.

Bo i ktoby mógł przypuścić, żeby dziecko z tak dobrej sfery, wychuchane wycackane mogło mieć tyle dziwnych narowów, co właśnie Marylka. Mama była wprost zrozpaczona, gdy do gości trzeba było wyciągać Marylkę z czeluści kuchni, gdzie oddawała się z zapałem czynności wyrabiania ciasta (nieszczęsne aksamitne sukienki); ojciec napróżno obsypywał córeczkę wytwornemi prezentami i sprowadzał do niej dzieci jaknajwyżej postawionych rodziców. Marylka na cacka patrzyła z pogardą, a wysoko urodzone dzieci wprawiała w taki stan osłupienia swemi niezwykłemi pomysłami, że wogóle nie chciały jej już odwiedzać. Najgorzej jednak odzywały się o dziewczynce nauczycielki, później profesorowie gimnazjum, a efekt ich opinji był taki, że cenzury były w najlepszym razie ozdobione trójkami, na czele których królowała jedna jedyna piątka z robót. Nie było to, oczywiście, żadna pociecha, bo cóż znaczą roboty! Matematyka — to jest przedmiot! Marylka była pod tym względem beznadziejna! Polski, taki ważny polski. Marylka nie czytała prawie nic, literatura nie obchodziła jej zupełnie, a w wypracowaniach pisała takie nonsensy, że włosy stawały dębem na głowie. Języki to samo, historja, geografja — jednem słowem wszystko! Chociaż nie, nie wszystko! W wyższych klasach ulubionym przedmiotem dziewczynki stała się chemja, tylko w tym przedmiocie zdołała się Marylka wybić ponad przeciętność, tylko w stosunku do chemji okazała maksimum zainteresowania. Ale cóż? Jedna jaskółka nie robi wiosny, to też wakacyjna cenzura Marylki z klasy 6-ej taka była marna i z takim trudem przemycała dziewczynkę do kl. 7-ej, że piątka z chemji przeszła niespostrzeżenie, nie wywołując większego wrażenia.

Marylka tem się zresztą nie przejmowała.

— To dziecko zupełnie nie ma ambicji — mówiła zbolałym głosem mama, a ojciec namotałby zapewne wąs na palec, gdyby nie był doszczętnie a dystyngowanie wygolony.

A tymczasem Marylka, spakowawszy beztrosko w walizkę niegodną cenzurę, oraz komplet starannie dobranej, a jaknajmniej wytwornej garderoby, wyruszyła na wieś i tam, przypasawszy wielki fartuch, oddała się swemu ulubionemu zajęciu: gospodarowaniu. Kurniki, chlewki, a przedewszystkiem kuchnia i śpiżarnia — oto było królestwo, w którem rządziła niepodzielnie, a co najważniejsze — skutecznie. Jej małe, zgrabne rączki, dokonywały cudów, na terenie gospodarstwa kobiecego, jej myśl, tak leniwa w szkole, tu wykazywała niezwykłą lotność i inwencję organizacyjną. Nikt tego nie doceniał, nikt nie chwalił, prócz starej klucznicy



Wszystko szło jak z płatka..

Marty, która twierdziła, że panienka, to — obol — no i prócz samej Marylki, która nagle dla siebie nabrała szacunku. Obok tego szacunku wypływała i decyzja: precz z niemiłym przebijaniem się przez 7-ą klasę, precz z przedmiotami, które jej nic nie obchodzą i do których nie ma zdolności, precz z niepotrzebnym, bezużytecznym trudem! Marylka znalazła wreszcie swoją drogę i gdy skończyły się wakacje, wystąpiła do rodziców z decyzją: pragnie uczęszczać do seminarjum gospodarczego. Początkowo rodzina przyjęła to tak, jak gdyby Marylka zapragnęła nagle zostać praczką, albo pomywaczką, po pewnym jednak czasie, po długich pertraktacjach i bojach — odcinek — matka — został zdobyty, naskutek tego i odcinek — ojciec — skapitulował conprędzej.

— Czem zasadniczo chcesz zostać? — zapytano ją ponuro — i co będziesz miała ze swojej szkoły?

— Chcę zostać instruktorką gospodarczą w szkole zawodowej, albo powszechnej — oświadczyła kategorycznie Marylka. — W szkole niczego się już więcej nie nauczę, a tam czuję, że będę naprawdę pożyteczną.

— Nauczycielką — jęknęła matka. — Moja córka nauczycielką, ach, mon Dieu!

— Trudno — odparł ojciec i począł telefonować, pytać, aż wreszcie położył przed córką spis następujący:

Jazłowiec pod Buczaczem, woj. tarnopolskie. Seminarjum gospodarcze Zgrom. SS. Niepokalanek.

Kraków, Syrokomli 21 Oddział Seminarjum Gospodarczego przy Państwowej szkole zawodowej żeńskiej

Luboczesnia pod Pniewami, pow. Szamotulski. Seminarjum Gospodarcze S.S. Urszulanek.

Warszawa, ul. Nowowiejska 43. Państwowe seminarjum Nauczycielek Gospodarstwa.

Zbylitowska Góra pod Tarnowem. Seminarjum Gospodarcze Zgrom. Najśw. Serca Jezusowego

Pozostało napisać do kancelarji szkoły o informacje.

Marylka długo się wahała — szkoła klasztorna czy państwowa, wreszcie wybrała tę ostatnią, gdyż chodziło jej o pobyt w mieście: koszta wynosiły — 110 zł. rocznie, koszty gotowania i szycia — 75 zł. półrocznie. Prócz tego uczenice, nie mające rodziców w mieście, mieszkają w bursie, której płacą 70 zł. miesięcznie.

Tak oto Marylka zaczęła pracować w swym ulubionym zawodzie, ale cóż to była za praca! Wszystko szło, jak z płatka i o dziwo, nawet cudownie jedna, jedyna umiejętność Marylki, t. j. chemja, przydała się jej doskonale.

A dziś? Dziś Marylka po skończeniu szkoły i dwuletniej praktyce, ma już stanowisko instruktorki gospodarczej. Chcąc się z nią zobaczyć, trzeba jechać hen, na krańce Warszawy do pięknego, nowego gmachu szkoły powszechnej. Schodzimy do sutereny, gdzie mieszczą się kuchnie i tam na progu wita nas Marylka w białym czepeczku i fartuszku, otoczona gromadką dziewczynek. Jej Wysokość, instruktorka gospodarcza!

— Czy jesteś zadowolona ze swej pracy — pytam, wąchając łakomie smakowite zapachy, unoszące się nad płytą kuchenną.

— O, bardzo! Mam pracę, którą lubię, zarabiam, no, nie tak wiele, bo mam pensję nauczycielki szkoły powszechnej, ale dla mnie na moje potrzeby to wystarcza, a przytem w czasie obecnego kryzysu i dla rodziców jest wielką ulgą. Tak, tak — dodała z uśmiechem — rodzice szanują dziś mój zawód, bo widzą, że tylko na tym terenie mogę pożytecznie pracować.

— A czy łatwo po skończeniu szkoły dostałaś posadę?

— Odrazu. Zapotrzebowania jest dużo, ale wykwalifikowanych sił ciągle jeszcze za mało. Niewiadomo, czy tak będzie zawsze, ale, narazie o posadę zupełnie nie trzeba się martwić. Dobrzeby było — zakończyła z uśmiechem, żeby wszystkie dziewczęta, które nie mają zainteresowań intelektualnych, zrozumiały w porę, że najważniejszą rzeczą jest wybranie sobie zawodu, do którego się ma zamiłowanie.

Zofja Miszewska.

zapomocą rogów. Wogóle koza spełnia swe obowiązki „pasterskie" z całą powagą, nie ustępując wcale zwykłym owczarkom.

KOBIETY SĄ „URODZONE DO LATANIA".

Opinję taką wydał jeden z wybitnych lotników Anglji, odpowiadając na pytanie, czy kobiety mogą być dobrymi lotnikami. Okazuje się, według danych ze szkół lotniczych w Anglji, że z każdym rokiem coraz więcej kobiet poświęca się lotnictwu. Wykazują one przytem niezwykłą łatwość w opanowaniu sztuki latania. Kandydatce na lotniczkę wystarcza zwykle 15 godzin, aby opanowała powierzchowną znajomość obchodzenia się z aparatem, a większość zapalonych uczennic potrafi posiąść sztukę latania w ciągu 2 tygodni w porze wakacyjnej, w godzinach wolnych od innych zajęć prywatnych i rozrywek.

Według zdania odego wybitnego lotnika, jest bardzo prawdopodobne, że w niedługim czasie będzie więcej lotniczek, jak lotników, w każdym razie w lotnictwie cywilnem, sportowem i komunikacyjnem.

RODZINNA KATASTROFA LOTNICZA.

W Nowej Gujanie zleciał z wielkiej wysokości aparat, w którym znajdował się lotnik amerykański Orayton z żoną, małą córeczką i jednym ze swych przyjaciół. Aparat stanął w płomieniach podczas lotu i spadł ze znacznej wysokości. Żona lotnika i jego córka zostały uratowane



Wyniki kobiet przynoszą już od dawna sportowi polskiemu wiele zaszczytów. Nazwiska Konopackiej, Walasiewiczówny, Wajsówny, Jędrzejowskiej, czy Nehringowej — znane są z jaknajlepszej strony w całej Europie, ba — na całym nawet świecie!

W galerji naszych mistrzyń zajmuje zasłużone miejsce również i Bronisława Staszel-Polankowa — chluba naszego narciarstwa. Polankowa ma już dzisiaj 22 lata, rozrosła się, nabrała sił i wytrzymałości, ale w opinji publicznej ciągle jest jeszcze tylko „małą Broncią", tak, jak ją pamiętają wszyscy z czasów jej pierwszych startów przed ośmiu laty.

Broncia jest góralką „czystej krwi", i z nartami zapoznała się już od wczesnego dzieciństwa. Jej brat najstarszy miał prawdziwe narty, a Broncia razem z młodszem rodzeństwem rozpoczęła naukę na deskach własnej „domowej" konstrukcji.

Przylgnęła do tych desek odrazu całem sercem. Jako mały smyk, ledwie od ziemi odrosły, jeździła z braćmi w góry, aby w miarę sił pomagać im przy zwózce drzewa. Kiedy zaczęła się uczyć, jeździła do szkoły, odległej o 3 klm., również na nartach. Taszczyła do Zakopanego bańki z mlekiem... i zawsze, zawsze na nartach. Jak tylko było chociaż trochę śniegu. I to były jej pierwsze treningi.

Brońcia trenowała więc narciarstwo bez przerwy, a w każdą wolną zimową niedzielę urządzała razem z całą okoliczną dzieciarnią narciarskie zawody. Zabawa w „zawody" nie nudziła się dzieciakom nigdy. Skakali na malutkiej „własnej" skoczni na Małej Łące, biegali na Krzeptówce. Mała Broncia była zawsze druga, a czasem nawet pierwsza. Bił ją tylko Władek Berych, dzisiaj najlepszy polski biegacz na nartach. Inne chłopaki nie liczyły się wcale.

I oto kiedyś zwrócił na małą Broncię uwagę „sam" Andrzej Krzeptowski. Po długich prośbach matka Polankowej dała się ubłagać i pozwoliła córce trenować „naprawdę". Tylko o długich narciarskich spodniach nawet mowy być nie mogło: „grzech i skaranie Boskie!" Broncia przez dwa lata była jedyną narciarką, która stawała do [illegible]

Ta spódniczka mało jej jednak przeszkadzała. W roku 1922-im przyjechał do Zakopanego ze Szwecji trener Stolpe i odrazu zajął się Brońcią poważnie. Brońcia stanęła do pierwszych „oficjalnych" zawodów i przybyła druga zaledwie o 9 sekund za sławną wówczas polską narciarką — Loteczkową.

Minęło parę tygodni i Broncia stanęła do zawodów o mistrzostwo Polski. Loteczkowa, startująca w „klasie starszych", osiągnęła na dystansie 8-miu kilometrów czas 45 min. 52 sek. Brońcia biegała w „klasie młodszych" i na tym samym dystansie miała czas 40 min. 23 sek.! Pięć i pół minuty lepiej!

Loteczkowa została pobita na głowę, zdeklasowana, poprostu zmiażdżona... Piętnastoletnia Brończia zdobyła mistrzostwo i od tej pory, przez lat osiem, raz jeden, jedyny dała się pokonać. Zwyciężyła ją czeszka, Friedlenderowa, stara, wytrawna narciarka. Była odwilż, a Broncia o prawidłowem smarowaniu nart nie miała jeszcze pojęcia. Na mistrzostwach Europy pobiła zresztą nasza mistrzyni doskonałą Czeszkę „jak chciała". A kiedy już piła na mecie gorącą herbatę, zwrócił jej ktoś uwagę, że rzemień od narty ma przecięty. Przecięty ostrym nożem... Trzymał się tylko na wąskim, cieniusieńkim skrawku skóry. Ale był wierny swojej młodej pani i wytrzymał do końca. Złośliwy podstęp się nie udał, a Brońcia do dziś dnia trzyma przecięty rzemień na pierwszem miejscu wśród zbioru zdobytych nagród i pucharów, w małym góralskim pokoiku.



Wędrówka po śniegu.



Broncia dawniej jeździła w spódniczce...

Dzisiaj, po tylu latach, Brońcia oczekuje na śnieg z taką samą niecierpliwością i tak samo całą duszą rwie się do zawodów. Jest już w pełni formy. Chce biegać i zwyciężać, pragnie popróbować sztuki najcięższej — biegów zjazdowych. Pierwszeństwo Angielek w tej dziedzinie nie daje jej spać. A Brońcia jest uparta.

Jaka to szkoda, że w programie zimowych zawodów olimpijskich niema narciarstwa dla kobiet! Może mielibyśmy wówczas jeszcze jedno mistrzostwo świata.

W. Trojanowski.



Broncia dziś...

ZAWODY NARCIARSKIE W ZAKOPANEM.

Mimo bardzo kiepskich warunków śnieżnych, odbyły się w Zakopanem poraz pierwszy w tym sezonie poważne zawody narciarskie — bieg sztafetowy 5 razy 10 klm. o mistrzostwo Polski.

Zawody były imponującą rewią 28-iu sztafet, a więc 140 zawodników! Wspólny start wszystkich drużyn dał zawodom bardzo ciekawy i niespotykany dotąd charakter.

Zwycięstwo odniosła bezkonkurencyjna już od kilku lat drużyna Sekcji Narciarskiej Pol. Tow. Tatrzańskiego. W drużynie tej biegli najlepsi zawodnicy polscy: Czech Bronek, Berych, St. Marusarz, Dawidek i Skupień, którzy osiągnęli na mecie czas 3 godz. 53 min. 59 sek. a o 13 minut lepszy od wyniku sztafety „Wisły", która przybyła na drugiem miejscu.

Najlepszy wynik indywidualny osiągnął Bronek Czech (44 min. 53 sek.), zawodnik, któremu narciarstwo polskie zawdzięcza wiele sukcesów na terenie międzynarodowym. Jego dzisiejsza forma pozwala przypuszczać, iż na mistrzostwach Europy w Insbrucku nie przyniesie on wstydu barwom polskim.

WALASIEWICZÓWNA UCZY SIĘ NARCIARSTWA.

Stanisława Walasiewiczówna, mistrzyni olimpijska na 100 mtr. i najpoważniejsza kandydatka do Wielkiej Nagrody Państwowej dla najlepszego sportowca, wyjechała na kurs narciarski Centralnego Instytutu W. F. do Worochty, gdzie poraz pierwszy zapozna się z pięknem gór polskich.

Po powrocie z Worochty Walasiewiczówna rozpocznie trening do zimowych mistrzostw Polski w lekkiej atletyce, a równocześnie pragnie trenować jazdę szybką na łyżwach. W tej dziedzinie Walasiewiczówna odnosiła w Ameryce szereg sukcesów i jest również wielką znakomitością, choć nikomu dotąd o tem nie było wiadomo. Najprawdopodobniej wyjedzie ona na Mistrzostwa Słowiańskie w łyżwiarstwie do Pragi czeskiej, gdzie będzie broniła barw Polski razem z Nehringową, Bilonówną, Kowalskim, Iwasiewiczem i Kalbarczykiem.

OD REDAKCJI

Wszystkie nasze Czytelniczki proszone są o pisanie do tego działu z adnotacją na kopercie „Dział sportowy". Będziemy udzielali odpowiedzi z wszelkich dziedzin, obejmujących zarówno informacje czysto praktyczne, jak organizacyjne i kronikarskie. Niewątpliwie znajdzie się dużo spraw interesujących nasze Czytelniczki.



Jadwiga Smosarska opowiada...

P. Jadwiga Smosarska wygląda niezwykle młodo i świeżo. Wysoka, wysmukła, o jasno niebieskich oczach i jedwabistych włosach. Jest niezwykle sympatyczną rozmówczynią. Mówi głosem dźwięcznym i „czystym:

— Urodziłam się w Warszawie, przy ul Królewskiej. Uczęszczałam w Warszawie na pensję p. Hoene-Przesmyckiej, a nawet byłam przez jakiś czas stałą pensjonarką. Jako małe dziecko byłam nadzwyczaj spokojna, do tego stopnia, ze gdy wożono mnie wózkiem, to nieraz brano mnie.. za lalkę

— Marzyła Pani naturalnie o scenie?

— I tak i nie. To znaczy, że zawsze chciałam występować, ale... uważałam me marzenia za niezisczalne. Naturalnie brałam udział we wszystkich przedstawieniach szkolnych, „robiłam" Osterwę przed koleżankami, ale to nie było wszystko.

Pamiętam doskonale pierwszy wieczór, spędzony w „prawdziwym" teatrze. Grano wówczas „Orlątko" z Osterwą. Sztuka, no i Osterwa zrobiły na mnie kolosalne wrażenie. Naturalnie „zakochałam się" w nim, zbierałam jego fotosy A ponieważ Osterwa mieszkał w tym samym domu, gdzie mieściła się nasza pensja, miałam okazję widzieć go codzień.

Przez cały czas pobytu w szkole myśl o teatrze nie opuszczała mnie. Pamiętam, że gdy byłam w siódmej klasie, brałam udział w popisie szkolnym. Przypadkowo znajdował się tam również minister Kultury i Sztuki, Miriam. I on zawyrokował, że powinnam wystąpić na scenie. Szczyt wszystkiego, nawet kochana moja przełożona namawiała mnie na to!

— No, i naturalnie wstąpiła pani do szkoły dramatycznej?

— Myli się Pani. Otóż po skończeniu szkoły, zostałam tem, co się nazywa „panną na wydaniu". Ojciec mój już wtedy nie żył, a matka oświadczyła mi wręcz, że naturalnie będę razem z nią mieszkać, ale jest obecnie w takiem położeniu, że nie może mnie ani elegancko ubierać, ani dawać częstych rozrywek. I... wtedy postanowiłam zarabiać na siebie Naturalnie marzenie moje znowu oddaliło się. Nie mogłam przecież jednocześnie pracować i uczyć się. Dostałam zajęcie w banku. Byłam wtedy bardzo młodziutka i nie było koleżanki w biurze, ani kolegi, którzyby mnie nie lubili. Najbardziej moja przedsiębiorczość imponowała mej Mamusi Zawsze powtarzała ponieważ byłam taka spokojna, ze nie mogła uwierzyć, abym zdobyła się kiedy na jaki energiczny krok Wracając do mej posady: to szczęście nie trwało niezbyt długo Pewnego dnia wezwano mnie do dyrekcji.

Pamiętam jeszcze dziś zupełnie jasno, jak zapukałam do dużych oszklonych drzwi i ściśnięcie serca, gdy stanęłam przed grubym i niezbyt sympatycznym naczelnikiem.

— Mam wrażenie — zaczął bez ogródek, że Pani jest jeszcze zbyt młoda, aby pracować.

— Przecież pan wiedział ile mam lat, gdy mnie Pan angażował — odpowiedziałam

— Tak — przyznał — ale wygląda Pani na osobę zamożną i myślę, że może Pani obejść się bez posady.

Co było robić, perswazje nie pomogły. Dostałam dymisję.

— Była pewnie Pani zgnębiona tym ciosem?

— Przyznam się, że niebardzo... Widocznie było to przeznaczenie Bo teraz mogłam spokojniej wstąpić do szkoły dramatycznej. Wprawdzie matka moja miała pewne objekcje, ale widząc, że i tak będę próżnować, zgodziła się, abym wstąpiła do szkoły, zaznaczając, że „będę tam tylko, aby jakoś zapełnić czas". Narazie o scenie nie było mowy.

(d. c. n.).



Zosia Mirska i Stefek Rogulski



Najmłodsze gwiazdy polskiego ekranu.

Warszawska szkoła baletowa, to „wylęgarnia" talentów filmowych.

Tu uczęszcza także młoda para aktorów filmowych — Zosia Mirska-Szuberle i Stefek Rogulski.

Zosia Mirska występuje nieomal od ósmego roku życia. Zadebiutowała przed pięciu laty (dziś liczy lat trzynaście) w filmie Olgi Czechowej: „Z raju bolszewickiego". Występowała wówczas w roli chłopczyka — synka Czechowej Następnie wystąpiła w rolach epizodycznych w filmach „Przedwiośnie" i „Pod banderą miłości"

Jej pierwszym większym filmem jest „Legjon ulicy".

Mała Zosia pracuje ciężko, bardzo ciężko Nie tylko chodzi do szkoły, tak jak jej rówieśnice, ale uczęszcza do szkoły baletowej, bierze udział w przedstawieniach baletowych i jeszcze występuje w filmie.

Drugie „cudowne dziecko polskiego ekranu" Stefek Rogulski również uczy się w szkole baletowej Ma za sobą niemal tyleż filmów, co Zosia Mirska. Grał w „Dziesięciu z Pawiaka", „Janku-muzykancie", „Głosie serca" i ostatnio był partnerem Zosi w „Legjonie ulicy".

Kiedy wystąpią znowu razem — niewiadomo.

Producenci polscy niechętnie nakręcają filmy z życia dzieci i młodzieży. Są one jakoby „nie kasowe". A szkoda bo filmy te są nietylko ciekawe i oryginalne, ale także stoją na wysokim poziomie artystycznym. A aktorów dziecięcych nam nie brak. Wystarczy wspomnieć Stefka Rogulskiego, Zosię Mirską, Musię Dajches, Biankę Bodo, czy też „weterana" — Tadzia Fijewskiego A jednak filmów, granych przez młodzież, — dla młodzieży — niema.

Teddy.

RÓŻNE CIEKAWOSTKI FILMOWE

Każdy kto widział choć jeden film z Tomem Mixem pamięta także jego konia, imieniem „Tony". A „Tony" jest już weteranem filmowym — liczy przeszło dwadzieścia lat i obecnie przeszedł na „emeryturę". Zastępować będzie go syn „Tony jun".

*

Mamy dwie rodaczki w Hollywood. Jedna z nich jest Lyda Roberti, gwiazda komedjowa, drugą „sobowtór Grety Garbo" i jej najgroźniejsza rywalka — Tala Birell. Pierwszą zobaczymy w filmie „Chłopiec z Hiszpanji", wesołej komedji z Eddie Cantorem, drugą w „Nagana" — filmie egzotycznym. Nagana jest rodzajem śpiączki, na którą zapadają mieszkańcy niektórych okolic Afryki.

*

Czy pamiętacie Baby Peggy?! Baby liczy obecnie czternaście lat i wystąpi obok Douglasa Fairbanksa w filmie „Człowiek z malowanego posterunku".



1. Kostjum cowboy a dla młodej panienki. Duży kapelusz filcowy, koszula z płótna kolorowego, chustka jedwabna Szerokie spodnie, przybrane z boku wyszyciem. Lasso i pochwa z rewolwerem. 2. Kostjum królewny. Sukienka z welwetu, płaszcz czerwony z kołnierzem z królików. Korona z tektury. Cały kostjum można wykonać z bibułki. 3. Suknia wieczorowa dla młodej panienki z jasnego meteoru. Staniczek skrzyżowany, bufiaste rękawki. Woreczek z tego samego materjału. 4. Suknia wieczorowa dla panienki z niebieskiej tafty, przybrana riuszami na spódniczce. Chusteczka z białej organdyny, obszyta koroneczką.

ŻEBY BYŁO ŁADNIE

Każdy lubi co pewien czas wprowadzić jakąś zmianę w swojem otoczeniu: przestawić meble, zmienić firanki i pokrowce poduszek na kanapie, inaczej posegregować książki w bibljotece i t. p.

Zastanówmy się, jakie zmiany warto przeprowadzić w swoim pokoju, czy kąciku, żeby było naprawdę ładnie.

Jest przysłowie: nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba. Jest to przysłowie najgorzej rozumiane i najbardziej nadużywane, zwłaszcza w tej dziedzinie, gdzie „ładuość" ocenia się wzrokiem. Każdy wie np. że o zaletach utworu literackiego można dyskutować wtedy, gdy utwór ten nie zawiera błędów językowych, gramatycznych i ortograficznych. Otóż dziedzina plastyki posiada również swoje prawidła zasad niczo nietety jednak mniej znane przez ogół.



Kącik do nauki

Tymczasem zapoznanie się z niemi może dać bardzo wiele korzyści i ochronić od śmieszności, jaką okrywa się w oczach ludzi kulturalnych człowiek, wygłaszający w sprawach estetycznych sądy, sprzeczne z elementarnemi zasadami estetyki.

Zasady te nie są czemś niewzruszonem, tak jak nie są niewzruszone zasady ortografji i składni żywego języka. Trzeba więc znać te, które obowiązują obecnie.

Najważniejsza z nich to prostota, logika, celowość i szczerość.

Praktycznie będzie to odpowiadało: unikaniu niepotrzebnej ornamentacji, dążeniu do wygody, unikaniu fałszu, maskowania, imitacji.

Pomyślmy więc jak zastosować w praktyce to hasło: mało, ale dobrze i rozsądnie. Nie będzie ono trudne i nie powinno pociągnąć za sobą kosztów, gdyż pierwszą potrzebną czynnością będzie usuwanie tego, co niepotrzebne. Zacznijmy od ścian. Czy widziałyście na wystawach nowoczesnych wnętrz, jak wyglądają ściany? Są gładkie, w jednym kolorze, niewiele się na nich wiesza, duże płaszczyzny pozostają wolne. Prawda, jakie to spokojne i ładne? Przypomnijmy teraz sobie, co wisi na tych ścianach i w jakim celu. Obrazów bardzo niewiele, zato są one naprawdę wartościowe pod względem artystycznym. Naturalnie, że oryginały Stryjeńskiej, Noakowskiego, Rafała Malczewskiego, ani nawet oryginalne odbitki graficzne naszych młodych grafików są niedostępne dla uczniowskiej kieszeni. Ale można powiesić dobrą reprodukcje jakiejś wartościowej rzeczy, zamiast amerykańskich główek, byle jak malowanych kwiatków, romantycznych amatorskich zdjęć lub fotografij gwiazd filmowych. Jeżeli mamy te rzeczy na ścianach, zdejmijmy je czemprędzej, o wiele lepiej wygląda ściana gładka, niż upstrzona pocztówkami, wstążkami i kwiatkami (też z pocztówki), wtopionemi w talerzyki z gipsu.

Jeżeli popełniło się jednak kiedyś te płynące z nieświadomości błędy, nieraz trudno z niemi zerwać — po zdjęciu ich na tapecie lub malowanej ścianie zostają ciemniejsze plamy niespłowiałej barwy, podczas gdy miejsca naokoło, spłowiały. W takim wypadku albo wieszamy w tem miejscu coś lepszego albo zostawiamy jak było, czekając cierpliwie na odnowienie mieszkania. Wtedy poprosimy o pomalowanie ściany jednolitym kolorem bez deseni i szlaczków (z wyjątkiem wąskiego paska), a jeśli koniecznie muszą być tapety, to wybierzemy jakiś bardzo spokojny nikły deseń, któryby z odległości kilku kroków prawie nie dał się widzieć. Zupełnie gładkie tapety są ładne, ale kosztowne i bardzo się plamią.

A teraz meble. Rzadko kto z młodzieży zależnej jeszcze materjalnie od rodziców ma okazję wybierać sobie nowe meble. Najczęściej dostaje się to co jest w domu, to też trzeba je wziąć takiemi, jakie są. Conajwyżej można z szafy pochodzącej z 1885 do 1900 r. zdjąć wieńczący ją, nikomu niepotrzebny gzyms. Zato można ustawić meble bardziej harmonijnie i rozsądnie. A więc: biurko tak, aby miało dobre światło zarówno w dzień jak wieczorem. Wprowadzimy więcej prostoty, unikając stawiania szafek w rogu pokoju na ukos, co sprawia, że przedmioty, które przypadkiem w taką studnię wpadną, leżą tam w zapomnieniu i kurzu aż do następnych wielkich porządków. Jeżeli ze względu na trudność rozmieszczenia mebli inaczej, wypadnie ustawić jakiś mebel ukośnie, pamiętajmy tylko, żeby żaden inny mebel nie stał ukośnie, zwłaszcza pod innym kątem.

Możemy zato, jeśli pod ścianą miejsca nie starczy, tapczan (jeśli sypiamy na tapczanie, nie na łóżku) wystawić na pokój, tak, aby węższą stroną przytykał do ściany. Będzie to miało logiczne uzasadnienie, gdyż wtedy nie będą się w nocy obsuwały poduszki, co jest zawsze niewygodą spania na tapczanie. Wtedy nad tapczanem zawiesimy koniecznie kawałek jakiejś lnianej ludowej tkaniny, t. zw. wileńskiej lub nowogródzkiej, lub inną równie dobrą rzecz, aby zabezpieczyć poduszki od wycierania się o ścianę. Aby zaś tkanina, przyciśnięta poduszką, nie wyrywała gwoździków ze ściany, kupimy odpowiedniej długości listewkę, szeroką $1\frac{1}{2}$—2 cm., przybijemy do niej gęsto brzeg tkaniny podszyty dla wzmocnienia wąską tasiemką, do listewki przykręcimy uszka i tę listewkę zawiesimy na 3-ch małych patentowanych haczykach. Listewkę możemy kupić albo surową (cena ok. 30 gr. za metr) w składzie dykt, fornierów, listew i wtedy musimy ją pobejcować (bejcę kupuje się w składach farb), albo w pracowni ram, gdzie znajdziemy listwy polituroware, naturalnie droższe.

Żadnych wzorów ustawienia mebli naturalnie nie podaję, gdyż każdy ma inny pokój i inne meble. Zaproponuję zato sposób obmyślenia przemeblowania, sposób, który sama stosowałam przy przeprowadzkach i który jest podobny do tego, jaki stosują artyści, komponujący wnętrza.

Na kratkowanym papierze narysujmy plan pokoju w takiej skali, aby kratka odpowiadała 10 cm. W tej samej skali wyrysujmy w rzucie poziomym wszystkie nasze meble, wytnijmy je z papieru i zakolorujmy, a następnie te ich wyobrażenia spróbujmy rozmieścić na planie. Naturalnie, że można przemeblowywać, przesuwając szafy i patrząc, czy to dobrze wygląda, ale rozwiązanie sprawy umeblowania pokoju za pomocą takiej łamigłówki i ustawianie później mebli już na pewniaka, ma swój urok.

Właściwie powinnoby się rozwiązywać zadanie jednocześnie i w rzucie pionowym, ale aby nie komplikować sprawy wystarczy tylko ciągłe pamiętanie o wysokości przedmiotów, które mamy na planie i wyobrażanie ich sobie, co nie będzie trudne w danym wypadku, gdy zarówno pokój, jak meble są nam dobrze znane.

I. [illegible]



[illegible]

Bądź ładna i zdrowa!

Ładne włosy

Często spotykanemi schorzeniami włosów są łojotok wilgotny i łupież pospolity, czyli suchy Zazwyczaj sprawy te występują razem, przyczem częściej na początku pojawia się łupież, do którego później dołącza się łojotok. Objawy tych spraw chorobowych są bardzo wyraźne. Łupież suchy, który pojawia się zazwyczaj już u dzieci około 8 — 10 roku życia, w dosyć szybkiem tempie zajmuje całą skórę głowy Nosi on charakter drobnych, białych, cienkich i suchych łusek, które nietylko przy czesaniu, ale nawet przy ruchach głowy sypią się na ubranie, co przyczynia się do nieporządnego wyglądu chorego osobnika. Skóra głowy staje się swędząca. W okresie lat 14 — 17 charakter łupieżu zmienia się zupełnie. Opisane poprzednio suche, cienkie i białe łuseczki zostają zastąpione przez łuski tłuste i grube, przylegające ściśle do powierzchni skóry. Łupież suchy zanika i rozwija się sprawa łojotokowa Włosy stają się lśniące i tłuste, często już w 1 — 2 dni po umyciu, włosy powracają do poprzedniego wyglądu. Włosy wypadają łatwo, podobnie jak i przy łupieżu suchym jednak o ile w łupieżu suchym odrastają dość łatwo, to przy sprawie łojotokowej braki nie zostają odpowiednio pokrywane i włosy się przerzedzają Najczęstszemi przyczynami tego cierpienia są ogólne osłabienie organizmu, wyniszczające choroby żołądka i jelit, choroby nerek, niedomaganie w zakresie układu oddechowego, wadliwe odżywianie, niehigjeniczny tryb życia W wieku młodzieńczym jednak sprawy te związane są przedewszystkiem ze zmianami, jakie zachodzą w rosnącym i rozwijającym się ustroju i wrodzoną skłonnością skóry do łojotoku Opisane cierpienia skóry należy traktować poważnie i w każdym wypadku zwracać się do lekarza, gdyż jak już nadmieniłam, leczenie tych chorób musi pozostawać w związku z leczeniem ogólnem organizmu Sprawy łojotokowe, występujące w wieku młodzieńczym, mogą wprawdzie częściowo ustępować, lecz ponieważ zależą one także i od indywidualnej skłonności skóry do łojotoku, przeto zawsze mogą one występować, tylko z mniejszem nasileniem



Poza ogólnem leczeniem, które może być przeprowadzone tylko przez lekarza, można stosować pewne zabiegi, które przyczyniają się do poprawienia stanu włosów Więc przedewszystkiem mycie głowy gorącą (możliwie) wodą przy włosach krótkich nawet 2 razy w tygodniu, przy dłuższych co tydzień. Mydło używane do mycia winno odkażać skórę głowy i włosy, mieć własności złuszczające naskórek. Do tych celów nadają się mydła, siarkowe, rezorcynowe, salicylowe. Dobrze zmydla tłuszcze mydło marsylskie. Używać je można w przypadkach lekkiego łojotoku. Przed myciem głowy któremkolwiek z wymienionych mydeł, można w celu lepszego odtłuszczenia zmyć włosy wodą z amoniakiem, przygotowaną w ten sposób, że na litr ciepłej wody daje się 10 — 15 kropli amoniaku W tej wodzie płócze się dokładnie włosy, a potem myje się w wodzie ciepłej zwykłej.

Dobre usługi oddaje spirytus salicylowy (2 proc.), którym należy wycierać skórę głowy Zabieg ten można stosować nawet codziennie. Włosy rozczesuje się miękką szczoteczką (taką, jaka służy do czyszczenia zębów), zmaczaną poprzednio w spirytusie salicylowym

Lampa kwarcowa jest dobrym środkiem leczniczym, jednak ilość naświetlań i czas trwania każdego naświetlania, muszą być stosowane indywidualnie i określone przez osobę kompetentną.

Niekiedy włosy głowy bywają rozszczepione na końcach, co, szczególnie przy włosach krótkich i w miejscach widocznych, wygląda bardzo nieestetycznie. Sprawa ta może być chorobą włosów, lub też występować przy włosach zdrowych, tylko nadmiernie suchych. Chorobowy rozszczep włosów jest zawsze poprzedzony powstawaniem w końcowych częściach włosa drobnych, szarawych zgrubień. Przy czesaniu, szczotkowaniu i zginaniu włosów, łamią się one w miejscach owych zgrubień i rozszczepiają. Leczenie tej sprawy chorobowej musi być przeprowadzone przez lekarza. Domowa kuracja może tu tylko zaszkodzić Przy włosach zdrowych, tylko nadmiernie suchych, rozszczepianie końców włosów ustaje z chwilą odpowiedniego ich natłuszczenia.

[illegible]



coś smacznego

Jam (dżem) żórawinowy.

W zimie, kiedy mniej jadamy jarzyn i owoców, każde roślinne urozmaicenie jadłospisu bardzo smakuje. Zwłaszcza słodkie przetwory owocowe, jako dodatek do drugich śniadań, cieszą się powodzeniem.

Dżem żórawinowy jest tani, smaczny i bardzo zdrowy

Żórawiny przebieramy, odrzucając nadgniłe brunatne. Przebrane zalewamy wrzącą wodą w dużem naczyniu tak, aby wody było dużo i żórawiny pływały w niej swobodnie. Niech tak postoją póki woda nie przestygnie, wtedy wyjmujemy je na sito i zostawiamy na godzinę, żeby obeschły.

Na kilo żórawin liczymy 1/2 kg. cukru. Jedno i drugie wsypujemy do mosiężnej miedniczki do smażenia konfitur, lub dużego płaskiego rondla i stawiamy na wolnym ogniu. Mieszamy od początku, rozgniatając żórawiny, co jest łatwiejsze, dopóki cukier się jeszcze nie rozpuścił. Gdy cukier się rozpuści smażymy jeszcze na wolnym ogniu 15—25 minut tak, aby się wolno gotowało i szumujemy, jak każde konfitury. Po usmażeniu gorący dżem zlewamy do kamiennego słoja, a gdy przestygnie obwiązujemy celofanem lub pergaminowym papierem.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

KTO TO ROZWIĄŻE?

4. KRZYŻÓWKA.



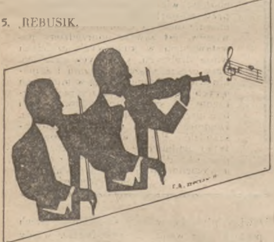
Znaczenie wyrazów:

Poziome: 1. Wrogi stosunek, przeciwdziałanie. 2. Nazwisko polskiej art. filmowej. — Wylanie się krwi do tkanki mózgowej. 3. Droga, trasa — Sól ługowa. 4. Kwity — 2 Spółgłoski. 5. Przyimek — Zaimek (l. mn. wspak) — Litera grecka. 6. Nazwisko pisarza polskiego — Rosyjskie imię męskie. 7. Życzyć sobie. 8. Eden — Miejscowość lecznicza w Niemczech. 9. Kbrab, — Narzędzie kuchenne. 10. Stary po angielsku — Maszyna do pogłębiania dna rzeki.

Pionowe: 1. Miasto w Belgji. 2. Przedrostek wyrazu, oznaczający nowość pojęcia — Spółgłoska (fonet.) — Litera grecka. 3. Despotyzm — Dwie kolejne spółgłoski. 4. Karta (wspak). 5. Smak, upodobanie — Imię młodej polskiej artystki filmowej. 6. Niemiłe zapachy — Ofiaruję — inaczej (wspak). 7. Nakopcić, nasmolić — 2 spółgłoski. 8. Zdrobniałe imię żeńskie — Okres czasu. 9. Choroba — Mędrzec, astrolog. 10. Ofiara chorobliwego nałogu.

„Tamara" (Sosnowiec).

5. REBUSIK.



Z podanego rysunku odczytać jedno słowo.

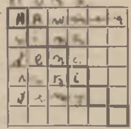
Jan Reiss (Złoczów).

6. ŻARCIK.

Jak można z 14 zapałek zrobić 100?

„Janba" (Rozdzień).

7. [illegible] MAGICZNY.



Należy znaleźć 6 czteroliterowych wyrazów o znaczeniu: 1. Wyspa w Ameryce Środkowej. 2. Przewinienie. 3. Rzeka na Syberji. 4. Skorupiaki. 5. Panie. 6. Pole. Następnie, do każdego z otrzymanych wyrazów dodać na początku znak chemiczny następujących pierwiastków: hel, lantan, gal, bar, polon, nikiel — tak, by otrzymać 6 nowych wyrazów 6-literowych, których litery czytane wzdłuż przekątni kwadratu, dadzą nazwisko znanej polskiej tancerki.

„Janba" (Rozdzień).

8. BILETY WIZYTOWE.

ADAM PROTERSKI

ERWIN Z. KOŁYKOSKI

DAMIAN PETRYTESZ

JANUSZ RYKWAT

Z podanych biletów odczytać zawód tych osób.

Urban Adaj.

KALAMBUR.

Kiedy *urok ofiarujesz,*
Piękny taniec zatańcujesz.

Jerzy Żarski (Warszawa).

Za rozwiązanie wszystkich lub jednego z powyższych zadań, redakcja przeznacza szereg nagród w drodze losowania. Termin nadsyłania rozwiązań trzytygodniowy. Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem redakcji, z dopiskiem: *„Rozrywki Umysłowe"*.

Można się uśmiać!..

W SĄDZIE.

Przed sądem staje w charakterze świadka jakiś mały, ośmioletni chłopczyk.

Sędzia pyta go:

— Imię i nazwisko?

— Wicuś Śmigielski — odpowiada malec.

— Ile lat?

— Siedem skończę w maju.

— Religja?

— Niedostatecznie.

WET ZA WET.

Pewien komedjopisarz był obecny na koncercie, na którym występował zaprzyjaźniony z nim skrzypek - wirtuoz.

Wtrakcie gry zdarzyło się, że skrzypkowi wypadł z ręki smyczek. Na ten widok, siedzący w pierwszym rzędzie krzeseł komedjopisarz, parsknął niepowstrzymanym śmiechem. Po skończonym koncercie podszedł doń artysta i powiedział:

— Niezbyt to delikatnie było z pańskiej strony, śmiać się ze mnie w czasie koncertu. Ja w swoim czasie byłem niemal na wszystkich pańskich komedjach, i doprawdy, ani razu nawet się nie uśmiechnąłem.

NA LEKCJI.

— Jak nazywamy istoty jednokomórkowe— pyta na lekcji przyrody nauczyciel małego Ja-[illegible]

— Więźniami, panie profesorze — odpowiada bez namysłu malec.

ŻEBRAK.

Na ulicy, pod murem stoi żebrak w ciemnych okularach. Obok niego siedzi, uwiązany na smyczy pies i trzyma w zębach tabliczkę z napisem: „Nieszczęśliwy ociemniały".

Pewnego razu, jeden z przechodniów zauważył, iż żebrak najspokojniej czyta sobie gazetę. Zaintrygowany tem przechodzień zbliża się do żebraka i pyta go:

— Powiedzcie mi dziadku! Niby to jesteście niewidomy, a tymczasem widzę, że gazetkę sobie czytacie, hę?

— A bo to proszę litościwej osoby, nie ja jestem ślepy, tylko pies — odpowiada spokojnie żebrak.

PROBLEM DOBREGO WYCHOWANIA.

Proszę nam poradzić — zwracają się w towarzystwie dwie panie do sędziwej matrony — jak się zachować, jeśli spotykają się dwie kobiety w jednakowym wieku, z tych samych sfer. Która z nich ma się pierwsza ukłonić?

— Ta, która jest lepiej wychowana

(Wróble na dachu)

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 10.—; półrocznie — zł. 5.—; kwartalnie — zł. 2.60; miesięcznie — zł 1 —

Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy Szerokość 1 łamu 54 mm 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ: Biuro Ogłoszeniowe Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Rudolf Mosse, Marszałkowska 124; „PAT", Królewska 5; T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Polska Agencja Publicystyczna, Marszałkowska 95; Międzynarod. Biuro Ogł., Senatorska 29; „Ruch", Wydz. Ogł., Poznańska 68; Jan Apte, Zielna 26; „Par", Bracka 17; „Merkury", Królewska 49. Kraków: „Par", Rynek 46; Cieszyn: Rudolf Pszczółka, Rynek, Katowice: „Par", Poprzeczna 8. Lwów: „Par", Akademicka 14. Łódź: Fuchs, Piotrowska 50; Poznań: Pol. Agencja Rekl. „Par", 27 grudnia 18; Wilno: Biuro Jutana, Niemiecka 14; Gdańsk: „Devera", Koblenmarkt 10.

Redaktorka: Hanna Januszewska Moszyńska. Wydawca Tow. Wyd. „BLUSZCZ"

Redakcja i Administracja: **Solec 87, tel. 244-18 i 787-08.** Konto P. K. O. Nr. 7353

Redaktorka przyjmuje w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Sp. z ogr. odp. Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.